

GEORGES SIMENON

WARIATKA MAIGRETA

**TYTUŁ ORYGINAŁU LA FOLLE DE MAIGRET
TLUMACZYŁA MARIA OCHAB**

ROZDZIAŁ I

Policjant Picot stał na warcie z lewej strony bramy na Quai des Orfèvres, a z prawej jego kolega Latuile. Dochodziła dziesiąta rano, przygrzewało majowe słońce, w którym Paryż przybrał pastelowe barwy.

W pewnym momencie Picot spostrzegł drobną starowinkę w białym kapeluszu, białych nicianych rękawiczkach i szarostalowej sukni. Miała bardzo chude, nieco wykrzywione ze starości nogi. Nie zwrócił na nią jednak specjalnej uwagi.

Czy w ręku miała koszyk z zakupami, czy torebkę? Nie przypominał sobie. Nie zauważył, kiedy przyszła. Stała na chodniku, parę kroków od niego, i patrzyła na samochody zaparkowane na podwórzu Policji Śledczej.

Ciekawscy, głównie turyści, często zaglądają na Ouai des Orfèvres. Staruszka podeszła do bramy, obejrzała policjanta od stóp do głów, potem odwróciła się i poszła w stronę Pont-Neuf.

Nazajutrz Picot znów pełnił wartę i zobaczył ją po raz drugi o tej samej godzinie co poprzedniego dnia. Tym razem po dłuższej chwili wahania podeszła do niego i spytała: Tutaj znajduje się biuro komisarza Maigret, prawda?

— Tak, proszę pani. Na pierwszym piętrze.

Podniosła głowę i popatrzyła w okna. Miała ładne, delikatne rysy, a jej jasnoszarych oczu nigdy chyba nie opuszczał wyraz zdziwienia.

— Dziękuję panu.

Odeszła drobnym kroczeniem. Tak, w ręku miała siatkę z zakupami, co pozwalało przypuszczać, że mieszka w tej dzielnicy.

Następnego dnia Picot miał wolne. Jego zastępca nie zwrócił uwagi na staruszkę, która wśliznęła się na podwórze. Krążyła tam przez chwilę, wreszcie weszła na klatkę schodową znajdującą się po lewej stronie. Długi korytarz na pierwszym piętrze wywarł na niej duże wrażenie i poczuła się trochę zagubiona. Woźny, stary Joseph, podszedł do niej i grzecznie zapytał:

— Pani czegoś szuka?

— Biura komisarza Maigret.

— Chce pani mówić z komisarzem?

— Tak. Po to przyszłam.

— Ma pani wezwanie?

Zasmucona, potrząsnęła przecząco głową.

— Trzeba mieć wezwanie?

— Chce pani mu coś przekazać?

— Muszę z nim pomówić osobiście. To sprawa ogromnej wagi.

— Proszę wypełnić ten blankiet, a ja zobaczę, czy komisarz może panią przyjąć.

Usiadła przy stoliku pokrytym zielonym sukniem. W świeżo odmalowanym lokalu unosił się silny zapach farby. Uważała, że jak na urząd atmosfera jest raczej wesoła.

Podarła pierwszy druczek. Pisała wolno, namyślając się nad każdym słowem, a niektóre z nich podkreślając. Druga kartka również poszła do kosza, potem trzecia, dopiero czwarta ją zadowoliła; zwróciła się do starego Josepha.

— Odda mu to pan do rąk własnych?

— Tak, proszę pani.

— Pewnie jest bardzo zajęty?

— Bardzo.

— Myśli pan, że mnie przyjmie?

— Nie wiem, proszę pani.

Miała ponad osiemdziesiąt lat, osiemdziesiąt sześć, może siedem, i ważyła chyba nie więcej niż dziewczynka. Jej ciało jakby wysubtelniało z wiekiem, skórę miała przezroczystą. Uśmiechała się nieśmiało, jakby chcąc oczarować poczciwego Josepha.

— Proszę zrobić, co w pańskiej mocy. To dla mnie takie ważne!

— Niech pani usiądzie.

Podszedł do drzwi i zapukał. Maigret rozmawiał ze stojącymi przed nim inspektorem Janvierem i Lapointe'em, Przez szeroko otwarte okno wpadał hałas uliczny.

Maigret wziął druczek, rzucił nań okiem i zmarszczył brwi.

— Jak ona wygląda?

— Bardzo przyzwoita starsza pani, trochę nieśmiała, Prosiła, abym się postarał, żeby pan ją przyjął.

W pierwszej linijce napisała swoje nazwisko zdecydowanym i regularnym charakterem pisma: *Antoine de Caramé*.

W rubryce „adres” wpisała: *8 bis, quai de la Mégisserie*.

Wreszcie, jako powód wizyty podała: *Pragnę skomunikować się z komisarzem Maigret w sprawie ogromnej wagi. To kwestia życia i śmierci*.

Pismo było tu trochę bardziej drżące, a linie nierówne. Niektóre słowa były podkreślone. Najpierw słowo „komisarz”. Potem „ogromnej wagi”. Kwestię „życia i śmierci” podkreśliła dwa razy.

— To wariatka? — wymamrotał Maigret pykając fajkę.

— Nie wygląda na to. Jest bardzo spokojna. Urzędnicy z Quai des Orfèvres przyzwyczajeni byli do listów od wariatów czy osób niezrównoważonych. Na ogół w listach tych niektóre słowa były podkreślane.

— Przyjmiesz ją, Lapointe? Inaczej będzie tu przychodziła codziennie.

Parę minut później wprowadzono staruszkę do małego pokoju w głębi korytarza. Lapointe był sam, stał koło okna.

— Proszę wejść. Zechce pani spocząć.

Patrząc na niego z ciekawością spytała:

— Jest pan jego synem?

— Synem... kogo?

— Komisarza.

— Nie, proszę pani. Jestem inspektorem.

— Ależ pan jest dzieckiem!

— Mam dwadzieścia siedem lat.

Była to prawda, ale prawdą było również, że wyglądał na dwadzieścia dwa i że częściej brano go za studenta niż za policjanta.

— Chciałam się widzieć z komisarzem Maigret.

— Niestety, jest bardzo zajęty i nie może pani przyjąć.

Wahała się, obracała w rękę białą torebkę i nie mogła się zdecydować, czy usiąść.

— A gdybym przyszła jutro?

— Będzie tak samo.

— Komisarz Maigret nigdy nikogo nie przyjmuje?

— Wyłącznie w wypadkach szczególnie poważnych.

— Kiedy to właśnie wyjątkowo poważny wypadek. To kwestia życia i śmierci.

— Napisała to pani na blankiecie.

— A więc?

— Jeśli zechce mi pani powiedzieć, o co chodzi, przekażę to komisarzowi i on zadecyduje.

— Zobacz się ze mną?

— Nic nie mogę pani obiecać, ale to niewykluczone.

Wydawało się, że długo waży za i przeciw, aż wreszcie zdecydowała się usiąść na brzegu krzesła, naprzeciw Lapointe'a, który usiadł przy biurku.

— O co chodzi?

— Przed wszystkim musi pan wiedzieć, że od czterdziestu dwóch lat mieszkam w tym samym mieszkaniu, na quai de la Mégisserie. Na parterze jest sklep z ptakami i kiedy w lecie właściciel wystawia klatki na chodnik, słucham ich śpiewu przez cały dzień. Dotrzymują mi towarzystwa.

Mówiła pani o niebezpieczeństwie.

— Niewątpliwie jestem w niebezpieczeństwie, ale pan pewnością pomyśli, że bredzę. Młodzi sądzą na ogół, że starzy ludzie tracą rozum.

— Nie przyszło mi to na myśl.

— Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć. Od śmierci mego drugiego męża, to jest od dwunastu lat; mieszkam sama i nikt nigdy nie przychodzi do mego mieszkania. Zrobiło się dla mnie za duże, ale pragnę zachować je aż do śmierci. Mam osiemdziesiąt sześć lat i nie potrzebuję nikogo do gotowania i sprzątanania.

— Ma pani jakieś zwierzęta? Psa, kota?

— Nie. Powiedziałam już panu, że słucham śpiewu ptaków z parteru, bo mieszkam na pierwszym piętrze.

— Na co się pani skarża?

— Trudno powiedzieć. Otóż co najmniej pięć razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni rzeczy zmieniły miejsce.

— Chce pani powiedzieć, że po powrocie do domu nie znajduje ich pani na tym samym miejscu co przed wyjściem?

— Otóż to. Obraz na ścianie jest lekko przekrzywiony albo wazon obrócony w inną stronę.

— Jest pani tego pewna?

— No widzi pan! Ponieważ jestem stara, nie ufa pan mojej pamięci. Mówiłam panu przecież, że mieszkam w tym samym mieszkaniu od czterdziestu dwóch lat. A więc dokładnie wiem, gdzie co leży.

— Nic pani nie skradziono? Nic nie zginęło?

— Nie, panie inspektorze.

— Pieniądze przechowuje pani w domu?

— Bardzo niewiele. Tyle tylko, ile potrzebuję na życie w ciągu miesiąca. Mój pierwszy mąż pracował w magistracie i zostawił mi rentę, którą regularnie otrzymuję. Poza tym mam oszczędności na książeczce.

— Ma pani jakieś przedmioty wartościowe, obrazy, bibeloty, czy ja wiem?

— Mam rzeczy, na których mi zależy, ale nie mają one wartości rynkowej.

— Pani gość nie zostawia śladów? W deszczowy dzień mógłby, na przykład, zostawić ślady stóp.

— Nie padało od dziesięciu dni.

— Popiół z papierosów?

— Nie.

— Czy ktoś ma klucz do pani mieszkania?

— Nie. Jedyne klucze, jakie istnieje, mam w torebce.

Patrzył na nią zakłopotany.

— Więc właściwie skarży się pani na to, że przedmioty w mieszkaniu zmieniają nieco miejsce?

— Tak.

— Nigdy się pani na nikogo nie natknęła?

— Nigdy.

— I nie ma pani pojęcia, kto to może być?

- Żadnego.
- Ma pani dzieci?
- Niestety, nigdy ich nie miałam.
- Rodzinę?
- Siostrzenicę, która jest masażystką, ale rzadko ją widuję, choć mieszka blisko, po drugiej stronie Sekwany.
- Przyjaciół? Przyjaciółki?
- Większość ludzi, których znałam, zmarła... Ale to nie wszystko...
Mówiła normalnym głosem, bez podniecenia, patrząc mu prosto w oczy.
- Śledzą mnie.
- Chce pani powiedzieć, że ktoś śledzi panią na ulicy.
- Tak.
- Widziała pani tę osobę?
- Odwracając się nagle widziałam wiele osób, ale nie wiem, która to z nich.
- Często pani wychodzi z domu?
- Najpierw rano. Przed ósmą idę na zakupy. Żałuję, Hale już nie istnieją, były o dwa kroki, a mam swoje przyzwyczajenia. Od kiedy je zlikwidowano, próbuję kupować w różnych sklepach. To już nie to samo.
- Osoba, która panią śledzi, to mężczyzna?
- Nie wiem.
- Sądzę, że koło dziesiątej wraca pani do domu?
- Mniej więcej. Siadam przy oknie i obieram jarzyny.
- Popołudnia spędza pani w domu?
- Tylko wtedy, kiedy pada albo jest zimno. Zazwyczaj idę posiedzieć sobie na ławce w ogrodzie Tuileries. Nie jestem jedyną osobą, która przesiaduje na ławce. Wielu ludzi w moim mniej więcej wieku od lat spotykam w tym samym miejscu.
- I ktoś śledzi panią w Tuileries?
- Siedzi mnie, kiedy wychodzę z domu, jakby chciał się upewnić, że nie wrócę zaraz.
- A zdarzało się to pani?
- Trzy razy. Wróciłam do domu, udając, że czegoś zapomniałam.
- I oczywiście nikogo nie było.
- A jednak wiele razy rzeczy zostały ruszone. Ktoś czegoś ode mnie chce, nie wiem dlaczego, bo nigdy nikogo nie skrzywdziłam. Może jest ich wielu.
- Co robił pani mąż w magistracie?
- Mój pierwszy mąż był naczelnikiem wydziału. To bardzo odpowiedzialne stanowisko. Niestety zmarł młodo, w wieku czterdziestu pięciu lat, na atak serca.
- Wyszła pani po raz drugi za mąż...
- Prawie dziesięć lat później. Mój drugi mąż był kierownikiem stoiska w domu towarowym naprzeciw magistratu. Zajmował się narzędziami ogrodniczymi i w ogóle drobnym sprzętem.
- On również zmarł?
- Od dawna był na emeryturze. Gdyby żył, miałby dziewięćdziesiąt dwa lata.
- Kiedy umarł?
- Chyba już panu mówiłam: dwanaście lat temu.
- Nie pozostawił rodziny? Był wdowcem, kiedy się panią ożenił?
- Miał jedyne go syna, który mieszka w Wenezueli...
- Przekażę komisarzowi wszystko, co mi tu pani posiedziała.
- I sądzi pan, że mnie przyjmie?
- Jeśli tak zadecyduje, to przyśle pani wezwanie.
- Ma pan mój adres?

- Zapisała go pani na blankiecie, prawda?
- Tak. Nie pomyślałam o tym. Widzi pan, mam do niego tyle zaufania! Myślę, że tylko on to zrozumie. Nie mówię tego, żeby pana obrazić, ale wydaje mi się pan taki młody...
- Odprowadził ją do drzwi, a potem korytarzem aż do schodów.
- Kiedy wszedł do Maigreta, Janvier już tam nie było.
- No więc?
- Myślę, że miał pan rację, komisarzu. To wariatka. Ale spokojna, bardzo spokojna, bardzo opanowana. Ma osiemdziesiąt sześć lat; życzylibym sobie być równie przytomny w jej wieku.
- A jakież to niebezpieczeństwo jej grozi?
- Przeszło czterdzieści lat mieszka w tym samym mieszkaniu, na quai de la Mégisserie. Miała dwóch mężów. Twierdzi, że w czasie jej nieobecności rzeczy zmieniają miejsce.
- Maigret zapalił fajkę.
- Jakie rzeczy, na przykład?
- Znajduje przekrzywione obrazy, przestawione wazony...
- Nie ma aby psa czy kota?
- Nie. Zadowala się śpiewem ptaków z parteru.
- Nic więcej?
- Owszem. Przekonana jest, że ktoś śledzi ją na ulicy.
- Zauważyła kogoś?
- No właśnie nie. To jej obsesja.
- Przyjdzie jeszcze?
- Chce zobaczyć się z panem osobiście. Mówi o panu jak o Bogu, jest pan podobno jedynym, który może coś z tego zrozumieć. Co mam zrobić?
- Nic.
- Ale ona wróci.
- Wtedy zobaczymy. Na wszelki wypadek mógłbyś wypytać dozorczynię.
- Maigret zagłębił się w papiery, a młody Lapointe powrócił do pokoju inspektorów.
- To wariatka? — spytał go Janvier.
- Możliwe, ale nie taka jak inne.
- Dużo znasz wariatek?
- Jedna z moich ciotek jest w szpitalu psychiatrycznym.
- Zdaje się, że ta staruszka zrobiła na tobie pewne wrażenie.
- Trochę tak. Patrzyła na mnie, jakbym był smarkaczem, który nic nie rozumie. Wierzy tylko w Maigreta.
- Po południu Lapointe przeszedł się po quai de la Mégisserie, gdzie mieszczą się głównie sklepy z ptakami i innymi drobnymi zwierzętami. Pogoda była piękna. Na chodniku zainstalowano kawiarniane ogródki; podnosząc głowę Lapointe zauważył, że na pierwszym piętrze okna są otwarte. Z trudem odnalazł mieszkanie dozorczy, w głębi podwórka. Dozorczy, siedząc w słońcu, cerowała męskie skarpety.
- Pan do kogo?
- Pokazał jej legitymację Policji Śledczej.
- Chciałbym, żeby mi pani powiedziała wszystko, co pani wie o niejkiej Antoine de Caramé. Tak się nazywa, prawda? Ta starsza dama, która mieszka na pierwszym piętrze.
- Wiem, wiem. Antoine to nazwisko jej drugiego nieoficjalnie nazywa się więc Antoine. Ale bardzo jest dumna ze swego pierwszego męża, który zajmował odpowiedzialne stanowisko w magistracie, i używa nazwiska Antoine de Caramé.
- Jak się zachowuje?
- O co panu chodzi?
- Czy nie jest trochę dziwna?

— Ciekawa jestem, dlaczego nagle policja się nią zainteresowała?

— Sama o to prosiła.

— Na co się może skarżyć?

— Podobno w czasie jej nieobecności przedmioty w mieszkaniu zmieniają miejsce. Nigdy pani o tym nie mówiła?

— Pytała tylko, czy nie widziałam, żeby ktoś się kręcił koło jej mieszkania. Powiedziałam, że nie. Zresztą stąd nie widać, jak ktoś wchodzi albo wychodzi. Schody są przy bramie.

— Ktoś ją odwiedza?

— Siostrzenica, raz czy dwa w miesiącu. Ale zdarza się, że nie przychodzi przez trzy miesiące.

— Zachowuje się normalnie?

— Jak wszystkie samotne staruszki. Otrzymała dobre wychowanie i jest dla wszystkich uprzejma.

— Jest teraz u siebie?

— Nie. Korzysta z każdego promyka słońca i pewnie siedzi na ławce w Tuileries.

— Czy rozmawia czasem z panią?

— Zamieniamy parę słów. Zwykle pyta o mego męża, który jest w szpitalu.

— Dziękuję pani.

— Myślę, że nie powinnam jej mówić o tej rozmowie?

— To nie ma znaczenia.

— W każdym razie nie myślę, żeby była wariatką. Ma swoje dziwactwa, jak wszyscy starzy, ale nie większe niż inni.

— Może tu jeszcze wrócę.

Maigret był w dobrym humorze. Od dziesięciu dni kropla deszczu nie spadła z nieba, wiał lekki wiaterek, niebo było bladobłękitne i przy tej idealnej majowej pogodzie Paryż przypominał operetkową dekorację.

Zasiedział się trochę w biurze przeglądając leżący tam już od dawna raport, od którego chciał się uwolnić. Z ulicy słyszał przejeżdżające samochody, autobusy i od czasu do czasu syrenę holownika.

Było już koło siódmej, kiedy otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie dyżurował Lucas i jeszcze dwóch czy trzech inspektorów — życzył im dobrej nocy.

Schodząc po schodach zastanawiał się, czy nie wpaść na aperitif do piwiarni „Dauphine”, i w momencie gdy mijał bramę, a dwóch stojących na warcie policjantów mu salutowało, ciągle jeszcze był niezdecydowany.

W końcu postanowił pójść prosto do domu. Zrobił parę kroków w stronę bulwaru du Palais, kiedy pojawiła się przed nim drobna postać, którą od razu rozpoznał, pamiętając, jak ją opisał Lapointe.

— To pan, prawda? — spytała gorączkowo.

Nie wymieniła nawet jego nazwiska. To mógł być tylko on, słynny komisarz, o którym tyle czytała w gazetach. Wycinała nawet artykuły i wklejała je do zeszytu.

— Proszę mi wybaczyć, że zatrzymuję pana na ulicy, ale ci tam, na górze, nie pozwalają mi wejść.

Maigret poczuł się trochę śmieszny i wyobraził sobie ironiczne uśmiechy stojących z tyłu wartowników.

— Ja oczywiście ich rozumiem. Nie mam do nich pretensji. Muszą przecież dać panu pracować, prawda?

Komisarza najbardziej uderzyły jej jasne, szare oczy, bardzo łagodne i błyszczące zarazem. Uśmiechała się do niego. Była wniebowzięta, ale jednocześnie w tym drobnym ciele można było wyczuć niezwykłą energię.

— W którą stronę pan idzie?

Wskazał most Saint-Michel.

— Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli podejść tam razem z panem?

Dreptała u jego boku i wydawała się jeszcze mniejsza.

— Przede wszystkim musi pan wiedzieć, że nie jestem wariatką. Wiem, jak młodzi patrzą na starych ludzi, a ja jestem już bardzo stara.

— Ma pani osiemdziesiąt sześć lat, prawda?

— Widzę, że młody człowiek, który mnie przyjął, mówił panu o mnie. Jest bardzo młody jak na swój zawód, ale dobrze wychowany i bardzo uprzejmy.

— Długo pani tu na mnie czeka?

— Przyszłam za pięć szóstą. Pomyślałam, że o szóstej wychodzi pan z biura. Widziałam wiele wychodzących j»osób, ale pana wśród nich nie było.

A więc czekała na niego pełną godzinę, stała na ulicy, a wartownicy przyglądali się jej obojętnie.

— Czuję niebezpieczeństwo. Nie bez powodu ktoś wkrada się do mego domu i szpera w moich rzeczach.

— Skąd pani wie, że szpera w pani rzeczach?

— Ponieważ nie znajduję ich tam, gdzie je zostawiłam. Mam manię na punkcie porządku. Każda rzecz ma u mnie swoje miejsce, ustalone od przeszło czterdziestu lat.

— Często się to zdarzało?

— Co najmniej cztery razy.

— Ma pani jakieś przedmioty wartościowe?

— Nie, panie komisarzu. Tylko drobiazgi uzbierane w ciągu całego życia. Chowam je przez sentyment.

Odwróciła się gwałtownie, a on zapytał:

— Czy ktoś teraz panią śledzi?

— Teraz nie, nie. Błagam pana, niech pan do mnie przyjdzie. Na miejscu lepiej pan zrozumie.

— Zrobię wszystko, żeby znaleźć czas.

— Niech pan to zrobi dla starej kobiety. Quai de la Mégisserie jest dwa kroki stąd. Proszę do mnie wstąpić w najbliższych dniach, obiecuję, że nie będę pana zatrzymywać. Obiecuję też, że nie przyjdę więcej do biura.

Była właściwie dość przebiegła.

— Przyjdę niedługo.

— W tym tygodniu?

— Może w tym tygodniu. Jeśli nie, to w przyszłym.

Doszli do przystanku autobusowego.

— Proszę mi wybaczyć, ale teraz muszę wracać do domu.

— Liczę na pana — powiedziała. — Mam do pana zaufanie.

W tym momencie trudno by mu było powiedzieć, co o niej myśli. Niewątpliwie jej historia była z tych, jakie w dobrej wierze wymyślają mitomani. Ale kiedy stał przed nią i patrzył jej w twarz, skłonny był poważnie traktować jej opowieść.

Wrócił do domu; stół zastawiony już był do kolacji. Ucałował żonę w oba policzki.

— Mam nadzieję, że przy tak pięknej pogodzie poszłaś się trochę przejść.

— Byłam na zakupach.

Zadał jej pytanie, które ją zdumiało.

— Czy tobie też się zdarza przesiadywać na ławce w parku?

Musiła szukać w pamięci

— To mi się na pewno zdarzało. Na przykład kiedy czekałam na swoją kolejkę do dentysty.

— Dziś wieczór widziałem się z panią, która wszystkie popołudnia spędza na ławce w Tuileries.

— Wiele ludzi to robi.

— A czy z tobą ktoś próbował rozmawiać?

— Przynajmniej raz. Matka małej dziewczynki prosiła, abym popilnowała dziecka przez parę minut. Chciała kupić coś w sklepie po drugiej stronie skweru.

Tutaj okno też było otwarte. Na kolację, jak zawsze w piękne letnie dni, jedli zimne mięso z majonezem i sałatą.

— Może się trochę przejdziemy?

Słońce różowiło jeszcze niebo, na bulwarze Richard–Lenoir było spokojnie, w oknach widać było ludzi. Państwo Maigret patrzyli na przechodniów, na wystawy, co jakiś czas wymieniając uwagi. Poszli na plac Bastylli, potem wracali bulwarem Beaumarchais.

— Przyjąłem dzisiaj dziwną staruszkę. To znaczy Lapointe ją przyjął. Czekala przed gmachem i zaczęła mnie na ulicy. Sądząc po tym, co mówi, to wariatka. A w każdym razie musi być lekko stuknięta.

— Co jej się stało?

— Nic. Twierdzi tylko, że kiedy wraca do domu, spostrzega, że przedmioty nie są na swoich zwykłych miejscach.

— Nie ma kota?

— Lapointe ją o to pytał. Nie ma żadnych zwierząt. Mieszka nad sklepem z ptakami i to jej wystarcza. Przez cały dzień słucha ich śpiewu.

— Myślisz, że mówi prawdę?

— Póki z nią rozmawiałem, wierzyłem jej, tak. Ma jasne, szare oczy tętnące czystością i dobrocią. Powiedziałbym raczej: prostotą ducha. Od dwunastu lat jest wdową. Mieszka sama. Prócz siostrzenicy nie widuje nikogo, nie ma rodziny. Rano wychodzi na zakupy, w białym kapeluszu i białych rękawiczkach. Po południu przesiaduje zwykle na ławce w Tuileries. Nie skarży się. Nie nudzi. Wydaje się, że samotność jej nie ciąży.

— Wiesz, wielu starych ludzi takie właśnie żyje.

— Chciałbym ci wierzyć, ale w niej jest coś innego, coś, czego nie umiem określić.

Kiedy wrócili do domu, zapadła już noc i trochę się ochłodziło. Wcześniej położyli się spać. Nazajutrz rano, ponieważ pogoda nadal była piękna, Maigret postanowił pójść do pracy pieszo.

Jak zwykle czekała nań sarta listów. Przejrzał je, przyjął inspektorów i wysłuchał raportu. Nie było nic poważnego.

Spędził banalne przedpołudnie, postanowił zjeść obiad w piwiarni „Dauphine” i zatelefonował do żony, że nie wróci do domu. Po obiedzie był już przy Pont–Neuf, w drodze na quai de la Mégisserie, gdy przypadkiem spotkał starego kolegę, który był na emeryturze — stojąc w słońcu przegadali dobry kwadrans.

Dwukrotnie w ciągu popołudnia pomyślał o staruszcze, którą inspektorzy ochrzcili już „starą wariatką Maigreta”. Dwukrotnie odłożył wizytę na później, choćby na jutro.

Czyż nie wyśmiałyby go gazety, gdyby dowiedziano się o historii wędrujących przedmiotów?

Wieczorem oglądał z żoną telewizję. Nazajutrz pojechał do biura autobusem, bo był spóźniony. Około dwunastej zadzwonił do niego komisarz policji pierwszego arrondissement.

— Mam tu sprawę, która powinna was zainteresować. Dozorczynie mówiła mi, że jeden z waszych inspektorów, młody, bardzo przystojny, był u niej.

Od razu domyślił się, o co chodzi.

— Quai de la Mégisserie?

— Tak.

— Nie żyje?

— Tak.

— Jest pan na miejscu?

— Jestem na parterze, w sklepie z ptakami, w mieszkaniu nie ma telefonu.

— Zaraz tam będę.

Lapointe siedział w sąsiednim pokoju.

— Chodź ze mną.

— Coś poważnego, szefie?

— Dla mnie i dla ciebie tak. Chodzi o starszą panią.

— Tę w białym kapeluszu, z szarymi oczami?

— Tak. Nie żyje.

— Zamordowana?

— Przypuszczam, że tak. Inaczej Jenton by mnie nie alarmował.

Nie wzięli samochodu, szli szybkim krokiem. Komisarz Jenton, którego Maigret znał dobrze, czekał na skraju chodnika, obok papugi przywiązanej cienkim łańcuszkiem do żerdki.

— Znał pan ją?

— Spotkałem ją tylko raz. Obiecałem, że odwiedzę ją w tych dniach. O mały włos nie przyszedłem wczoraj.

Czy zmieniłoby to bieg wypadków?

— Jest ktoś na górze?

— Jeden z moich ludzi i doktor Forniaux, który właśnie przyszedł.

— Jak zginęła?

— Jeszcze nie wiem. Koło wpół do jedenastej sąsiadka z drugiego piętra zobaczyła, że drzwi są uchylone. Nie przywiązując do tego znaczenia poszła po sprawunki. Kiedy o jedenastej wróciła, drzwi nadal były otwarte, więc zawołała: „Pani Antoine, pani Antoine!... jest pani tam? Ponieważ nikt nie odpowiadał, pchnęła drzwi... Omal nie potknęła się o ciało.

— Leżała na ziemi?

— Tak. W salonie. Sąsiadka natychmiast zadzwoniła na komisariat.

Maigret powoli wchodził po schodach, twarz miał zaszępioną.

— Jak jest ubrana?

— Jak do wyjścia, ma jeszcze biały kapelusz i rękawiczki.

— Żadnej widocznej rany?

— Niczego nie zauważyłem. Dozorczyńni powiedziała mi, że jeden z waszych ludzi był tu trzy dni temu i wypytywał o nią, więc od razu do pana zadzwoniłem.

W chwili kiedy trzech mężczyzn weszli do mieszkania, doktor Forniaux podnosił się z klęczek.

Podali sobie ręce.

— Ustalił pan przyczynę zgonu?

— Uduszenie.

— Chce pan powiedzieć, że ściśnięto jej gardło?

— Nie. Ktoś musiał posłużyć się rocznikiem czy chustką, którą przyciskał do nosa i ust, póki nie nastąpiła śmierć.

— Jest pan tego pewny?

— Będę to mógł potwierdzić po autopsji.

Przez szeroko otwarte okno słychać było świergot ptaków z parteru.

— Kiedy to się mogło stać?

— Wczoraj po południu albo wieczorem.

Po śmierci staruszka wydawała się jeszcze drobniejsza niż za życia. Na podłodze leżało filigranowe ciało z dziwacznie zgiętą nogą, co nadawało mu wygląd połamanej kukielki.

— Ile, trzeba było czasu, pańskim zdaniem, aby ją ten sposób uśmiercić?

— Trudno tu o dokładność. Zwłaszcza ze względu na jej wiek. Pięć minut? Trochę mniej, trochę więcej...

— Lapointe, zadzwoń do prokuratury i do laboratorium. Powiedz Moersowi, żeby przysłał ekipę.

Panowie jeszcze mnie potrzebują? Przyślę ambulans, żeby przywiózł mi ją do Instytutu Medycyny Sądowej, gdy tylko nie będzie wam już potrzebna.

Komisarz posłał policjanta na dół, gdzie zebrało się już ludzi.

— Niech się rozejdą. To nie jarmark.

Obydwaj nawykli do przestępstw, niemniej byli pod wrażeniem. Może dlatego, że chodziło o bardzo starą kobietę, że nie było widocznej rany?

I mieszkanie było stare — jakby przeniesione z początków wieku czy nawet z końca ubiegłego! Solidne, wypolerowane meble z ciężkiego mahoni, obite karmazynowym pluszem fotele, jakie zobaczyć jeszcze można w prowincjonalnych salonach, mnóstwo bibelotów i oprawionych fotografii porozwieszanych na wszystkich ścianach pokrytych tapetą w kwiatki.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na ludzi z prokuratury.

— Wkrótce tu będą. Przyślą pierwszego lepszego zastępcę prokuratora z protokołaniem; rozejrzy się dokoła i będzie po wszystkim.

Istotnie, tak się to zwykle odbywa. Po czym wkraczają specjaliści wraz ze swym zawadzającym sprzętem.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i Maigret aż podskoczył.

Była to dziewczynka, mieszkająca na innym piętrze, która weszła tu słysząc hałas.

— Często tu przychodziłaś?

— Nie, nigdy.

— Gdzie mieszkasz?

— Naprzeciwko.

— Znałaś panią Antoine?

— Widywałam ją czasem na schodach.

— Rozmawiała z tobą?

— Uśmiechała się do mnie.

— Nie dawała ci nigdy cukierków, czekolady?

— Nie.

— Gdzie twoja mama?

— W kuchni.

— Zaprowadź mnie do niej. Przeprosił komisarza Jenton.

— Proszę mnie zawiadomić, kiedy przyjadą z prokuratury.

Dom był stary, ściany i sufity krzywe, w posadzce brakowało klepek.

— Mamo, jakiś pan chce z tobą mówić.

Z kuchni wyszła kobieta, wytarła ręce w fartuch. Koło łokcia zostało jeszcze trochę piany.

— Komisarz Maigret. Przypadkiem zobaczyłem, jak pani córka otwierała drzwi naprzeciwko. Czy to pani znalazła ciało?

— Jakie ciało? Idź do swojego pokoju, Lucette.

— Sąsiadki.

— Umarła? Zawsze mówiłam, że to się kiedyś stanie. W jej wieku nie można mieszkać samotnie. Musiała zasłaćnąć i nie miała siły wołać o pomoc.

— Została zamordowana.

— Nic nie słyszałam. Prawda, że na ulicy taki hałas...

— Nie było wystrzału, zresztą to nie stało się dzisiaj, tylko wczoraj po południu albo wieczorem.

— Biedna kobieta! Była trochę za dumna jak na mój gust, ale nie miałam jej tego za złe.

— Byłyście w dobrych stosunkach?
— Nie zamieniłyśmy z sobą nawet dziesięciu zdań, od kiedy tu mieszkam,
— Nic pani nie wie o jej życiu?
— Widywałam ją czasem rano, jak wychodziła. W zimie nosiła czarny kapelusz, w lecie białe, i zawsze rękawiczki, nawet na zakupy. To jej sprawa, prawda?
— Ktoś ją odwiedzał?
— Nic mi o tym nie wiadomo. Chwileczkę, dwa czy trzy razy widziałam dzwoniącą do jej drzwi kobietę... postawną, trochę męską w typie.
— W ciągu dnia?
— Raczej pod wieczór. Po kolacji.
— A ostatnio, czy widziała pani, żeby ktoś się tutaj kręcił?
— Zawsze ktoś się kręci. Ludzie wchodzą i wychodzą jak we młynie. Dozorczyńsi siedzi u siebie, w głębi podwórka, i nie troszczy się o lokatorów.
Odwróciła się do córki, która weszła po cichu.
— Co ci mówiłam? Wracaj szybko do swojego pokoju!
— Przyjdę jeszcze do pani, zmuszony jestem przesłuchać wszystkich lokatorów.
— Nie wiadomo, kto to zrobił?
— Nie.
— Jak ją znaleziono?
— Lokatorka z drugiego piętra zobaczyła uchylone drzwi. Ponieważ po godzinie nadal było otwarte, zawołała ją, a potem weszła.
— Wiem, która to.
— Skąd pani wie?
— Bo to najbardziej wścibska osoba z całego domu. Zobaczy pan, że to matka Rochin.
Słychać było kroki i głosy na klatce; Maigret wyszedł, żeby wskazać drogę ludziom z prokuratury, którzy— właśnie przyjechali.
— Tędy — powiedział. — Był tu doktor Forniaux, ale jest dziś bardzo zajęty i musiał odjechać.
Zastępca prokuratora był wysokim, młodym mężczyzną, bardzo eleganckim i dystyngowanym. Rozglądał się ze zdumieniem, jakby nigdy jeszcze nie widział podobnego wnętrza. Potem spojrzął przez chwilę na szarą, skurczoną postać na dywanie.
— Czy wiadomo, jak została zamordowana?
— Przez uduszenie.
— Oczywiście nie mogła stawiać większego oporu.
Potem nadszedł sędzia Libart i również ciekawie rozglądał się po pokoju.
— Zupełnie jak ze starego filmu.
Lapointe wszedł na górę, jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Maigreta. Nie wzruszyli ramionami, choć obaj mieli na to ochotę.

ROZDZIAŁ II

— Myślę, że powinienem przysłać wam dwóch czy trzech policjantów, aby rozpedzili gapiów — zaproponował komisarz Jenton.

Lokatorzy zebrali się już na schodach i w korytarzu. Ludzie z prokuratury nie zabawili długo i sanitariusze z Instytutu Medycyny Sądowej wynieśli ciało na noszach.

Lapointe widział zasępioną, bladą twarz Maigreta. Trzy dni temu nie znał zmarłej, nigdy nawet o niej nie słyszał. Ale w swym wyimaginowanym bądź uzasadnionym niepokoju zwróciła się właśnie do niego. Usiłowała spotkać się z nim osobiście, bo miała do niego zaufanie — przypominał sobie teraz jej pełne podziwu oczy, kiedy zatrzymała go na ulicy.

Wziął ją za wariatkę czy zbzikowaną staruszkę. A jednak w głębi duszy miał jakieś niejasne wątpliwości i obiecał jej, że przyjdzie. Przyszędłby, może nawet tego właśnie popołudnia.

Za późno. Została zamordowana, tak jak się tego obawiała.

— Trzeba zdjąć odciski palców ze wszystkich przedmiotów, nawet tych, które wydają się nie ruszone.

Usłyszał głosy w korytarzu i otworzył drzwi. Stało tam ze dwunastu dziennikarzy i fotografów, których policjant nie wpuszczał do mieszkania.

Ktoś podsunął mu mikrofon.

— Jakiego to rodzaju zbrodnia, komisarzu?

— Nic nie wiem, panowie. Można powiedzieć, że śledztwo jeszcze się nie rozpoczęło.

— Kto to jest?

— Starsza pani.

— Pani de Caramé, dozorczyńni nam mówiła. Powiedziała też, że na początku tygodnia ktoś z Policji Śledczej o nią wypytywał. Dlaczego? Czy były powody po temu, by sądzić, że jest w niebezpieczeństwie?

— Na razie mogę tylko powiedzieć, że nic jeszcze nie wiem.

— Mieszkała sama, prawda? Nikt jej nie odwiedzał?

— O ile nam wiadomo, nie. Ale miała siostrzenicę, której nazwiska nie znam, a która przychodziła do niej czasami. Jest masażystką i mieszka niedaleko stąd, po drugiej stronie Pont-Neuf.

Taśma zarejestrowała tę krótką wypowiedź. Ukaże się w popołudniowych gazetach. Wówczas siostrzenica zapewne się zgłosi.

— Czy można sfotografować wnętrze?

— Jeszcze nie. Ludzie z brygady śledczej tam pracują. Teraz proszę opuścić klatkę schodową.

— Czekamy na pana na podwórzu.

Maigret zamknął drzwi i rozejrzał się wreszcie po mieszkaniu. Na wprost znajdował się salon, gdzie napadnięto panią Antoine, kiedy wróciła z codziennego spaceru po Tuileries.

Czy ktoś przychodził do mieszkania pod jej nieobecność, tak jak podejrzewała? Możliwe. Ale po co? Cóż takiego mogło być w tym mieszkaniu, co tłumaczyłoby te uparte poszukiwania?

Niewątpliwie wróciła wcześniej niż zwykle i zaskoczony intruz pozbył się jej.

Czyżby to znaczyło, że go znała? Mógł przecież uciec. Czy musiał ją zabić?

— Odciski palców?

— Jak dotąd tylko odciski starej. Poza tym, na stole w salonie odciski lekarza. Te już znamy.

W salonie były dwa okna i, jak we wszystkich pokojach na piętrze, niski sufit. Drzwi prowadziły do jadalni równie staromodnej co reszta mieszkania i jego właścicielka. W kącie na stoliku stała ogromna zielona roślina w owiniętej materiałem, glinianej donicy.

Wszędzie panował porządek i aż przesadna czystość.

W jadalni było jedno tylko okno, a naprzeciw okna — drzwi do kuchni. W pudełku na chleb leżała jeszcze bułka. W lodówce Maigret znalazł sporo małych pakietków. W jednym był plasterek szynki, w innym pół kotleta. Była też sałata i pół butelki mleka.

Pozostawał jeszcze jeden pokój, który, jak kuchnia, był od strony podwórka — sypialnia. Stała tam wielka orzechowa szafa z lustrem; łóżko i pozostałe meble również były z orzecha. Na podłodze leżał spłowiały, wschodni dywan, miejscami widać było jego osnowę.

Wszystko to wyglądało dość porządnie. Powinien przyjść tu po południu, żeby dokładnie obejrzeć rzecz po kolei, łącznie z zawartością szafy i szuflad.

— Skończyliśmy, szefie.

Ekipa fotografów zabrała sprzęt. Ciągle jeszcze nie znaleziono odcisków innych niż staruszki.

Maigret wydał instrukcje sierżantowi, aby nie wpuszczać nikogo prócz inspektora, którego sam przyśle. Zszedł po ciemnych, wydeptanych schodach, z poręczą wypolerowaną przez dwa czy trzy stulecia użytkowania.

Na podwórku dziennikarze i fotoreporterzy walczyli z niezbyt uprzejmą dozorczynią. Lapointe szedł za komisarzem. On też był przygnębiony. Widział panią Antoine w swoim biurze, tam ją przyjął i tam zawyrokował, że jest chyba trochę zwariowana.

Handlarz ptaków, pan Caille, sądząc po nazwisku wypisanym na szyldzie, stał obok swoich klatek ubrany w długą bluzę z szarego płótna.

— Pozwoli pan, że zadzwonię?

— Bardzo proszę, panie komisarzu.

Uśmiechał się chytrze, dumny, że poznał Maigreta. Telefon znajdował się w sklepie, gdzie piętrzyły się klatki z ptakami, a czerwone rybki pływały w akwarium. Karmił je staruszek ubrany również w szarą płócienną bluzę.

— Halo!... Lucas?... Przyślij mi kogoś na quai de la Mégisserie. Pod 8 bis... Janvier? Bardzo dobrze... Niech wejdzie do mieszkania i nikogo nie wpuszcza... Zadzwon do mojej żony, że nie przyjdę na obiad...

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do starego handlarza ptaków.

— Od dawna mieszka pan w tym domu?

— Od kiedy wprowadził się tu mój ojciec, miałem wtedy dziesięć lat.

— A więc zna pan panią Antoine od chwili, kiedy tu zamieszkała?

— To było ze czterdzieści lat temu. Żył jeszcze jej pierwszy mąż, pan de Caramé. Zajmował odpowiedzialne stanowisko w magistracie i kiedy organizowano tam jakieś uroczystości, zawsze nam dawał bilety.

— Dużo ludzi widywali w tym okresie?

— Byli zaprzyjaźnieni z dwoma czy trzema małżeństwami, co tydzień przychodzili tu grać w karty.

— Jaka była pani Antoine?

— Urocza. Ładna. Ale niech pan powie, co to za los, wydawało się, że nie jest mocnego zdrowia, że nie dożyje późnej starości... taka była wątpliwość. Natomiast on był korpulentnym mężczyzną, nigdy nie widziałem go chorego. Używał życia. Ale to on umarł nagle w swoim biurze, a jego żona wczoraj jeszcze żyła.

— Wkrótce po jego śmierci ponownie wyszła za mąż?

— O nie! Była sama przez prawie dziesięć lat. Potem spotkała, nie wiem gdzie, tego Antoine'a, za którego w końcu wyszła. Nic do niego nie mam. Z pewnością był to porządny człowiek, ale nie tak dystyngowany jak jej pierwszy mąż. Pracował w „Bazar de l'Hôtel de

Ville”, był tam, zdaje się, kierownikiem stoiska. Był wdowcem. Założył sobie mały warsztat na górze i majsterkował. To była jego pasja. Nie mówił dużo — dzień dobry, do widzenia... Rzadko wychodzili. Miał samochód i w niedzielę woził żonę na wieś. Latem wyjeżdżali gdzieś w okolice Etretat.

— Czy jacyś inni lokatorzy znali ich „dobrze”

— Obawiam się, że jestem ostatni. Pozostali umarli jeden po drugim i nowi ludzie wprowadzili się do domu. Ze starych nie widuję już nikogo.

— Zapomniałeś o panu Crispin, tato — wtrącił stojący na progu syn.

— To prawda, nie widuję go, więc trudno mi uwierzyć, że jeszcze żyje. Od pięciu lat jest unieruchomiony. Zajmuje dwa pokoje na piątym piętrze, dozorczyńni przynosi mu jedzenie i sprząta.

— Przyjaźnił się z państwem Antoine?

— Niech pan poczeka, zaraz sobie przypomnę. Przychodzi taka chwila, kiedy wszystko się zaczyna mieszać w głowie. Wprowadził się tu trochę później niż oni, czyli pan de Caramé musiał jeszcze żyć. Nie sądzę, żeby się wtedy widywali. Dopiero znacznie później, kiedy pani de Caramé wyszła za pana Antoine, zacząłem widywać ich razem. On też pracował w handlu. W pasmanterii zdaje się, na ulicy Sentier.

— Dziękuję panu, panie Caille.

Przyszedeł Janvier.

— Jadłeś obiad?

— Coś tam zjadłem. A pan?

— Pójdę na obiad z Lapointe'em. Wejdz na górę i zostań w mieszkaniu. Niczego nie ruszaj, nawet byle bibelotu. Później ci powiem dlaczego. Aha, tylko jedną osobę trzeba wpuścić, gdyby przyszła: siostrzenicę.

Dziesięć minut później Maigret i Lapointe siedzieli przy stole w piwiarni „Dauphine”.

— Aperitif? — zaproponował właściciel.

— Nie. Proszę nam podać od razu karafkę beaujolais. Co pan ma do jedzenia?

— Przywieźli mi dziś świeże kielbaski z Owernii.

Maigret zamówił na przystawkę filety ze śledzia.

— Co ty o tym myślisz? — spytał nieco przytłumionym głosem.

Lapointe nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Nigdy bym nie uwierzył, że mówiła prawdę. Przysięgłbym, że coś sobie uroiła, jak to często się zdarza, starym ludziom.

— Nie żyje.

— I gdyby drzwi nie były uchylone, odkryto by to po wielu dniach. Musiała znać mordercę, inaczej nie potrzebowałby jej zabijać.

— Zastanawiam się, czego szukał.

— Kiedy się tego dowiemy, o ile w ogóle się dowiemy, śledztwo będzie bliskie zakończenia. Zaraz przeszukamy mieszkanie metr po metrze. Musi tam być coś, co morderca chciał sobie przywłaszczyć. Coś trudnego do znalezienia, ponieważ wielokrotnie przeszukiwał mieszkanie.

— A jeśli w końcu znalazł to, czego szukał?

— W takim wypadku niewiele mamy szans na to, że uda się go złapać. Trzeba też przesłuchać lokatorów. Ile pięter ma dom?

— Sześć i mansardy.

— Średnio dwa mieszkania na piętro...

Beaujolais było doskonałe, podobnie jak kielbaski z frytkami.

— Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć. Pani Antoine miała osiemdziesiąt sześć lat. Od dwunastu lat była wdową. Dlaczego dopiero teraz zaczęto szperać w jej mieszkaniu? Czy to,

czego szukano, było w jej posiadaniu od niedawna? W takim razie wiedziałaby, o co chodzi. A przecież mówiła ci, że nie ma pojęcia, czego od niej chcą.

— Wydawała się równie zdziwiona jak my.

— Obaj jej kolejni mężowie nie byli ludźmi tajemniczymi. I jeden, i drugi reprezentowali typ przeciętnego Francuza, pierwszy trochę bardziej atrakcyjny niż drugi.

Skinął na właściciela.

— Dwie kawy.

Niebo wciąż było niebieskie, powietrze musujące. Wzdłuż bulwarów spacerowali turyści z aparatami fotograficznymi przewieszonymi przez szyję.

Obaj mężczyźni wrócili na quai de la Mégisserie.. Tylko jeden dziennikarz czekał na nich krążąc po podwórku.

— Oczywiście nic dla mnie nie macie? — wymamrotał z goryczą.

— Jak dotąd, nie.

— Dziesięć minut temu jakaś pani weszła na górę, ale nie chciała mi powiedzieć, kim jest.

Parę minut później Maigret i Lapointe witali się z nią. Była to kobieta postawna, tęga, trochę męska w typie, wyglądająca na czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat. Siedziała na fotelu w salonie; Janvier, jak się zdaje, nie próbował nic z niej wyciągnąć.

— Czy pan komisarz Maigret?

— Tak. Przedstawiam pani moich dwóch inspektorów.

— Jestem Angela Louette.

— Pani?

— Nie, panna. Chociaż mam dwudziestopięcioletniego syna. Nie wstydzę się tego, przeciwnie.

— Pani Antoine była pani ciotką?

— To siostra mojej matki. Starsza siostra. A jednak moja matka umarła pierwsza, ponad dziesięć lat temu.

— Mieszka pani z synem?

— Nie, mieszkam sama. Mam małe mieszkanie przy ulicy Saint–Andre–des–Arts.

— A pani syn?

— Mieszka raz tu, raz tam. Teraz jest, zdaje się, na Lazurowym Wybrzeżu. Jest muzykiem.

— Kiedy widziała pani ciotkę po raz ostatni?

— Mniej więcej trzy tygodnie temu.

— Często pani tu przychodziła?

— Raz na miesiąc albo raz na dwa.

— Czy byliście w dobrych stosunkach?

— Nie kłóciłyśmy się.

— To znaczy?

— Nie było między nami żadnej zażyłości. Moja ciotka była osobą nieufną. Z pewnością wyobrażała sobie, że przychodzę do niej tylko po to, by utrzymać dobre stosunki i dostać po niej spadek.

— Miała pieniądze?

— Oczywiście, jakieś oszczędności, ale to nie może być większa suma.

— Nie wie pani, czy miała konto w banku?

— Nigdy o tym nie mówiła. Prosiła tylko, żeby ją pochować w tym ‘samym grobie, gdzie leży jej pierwszy mąż. Kupiła kwaterę na cmentarzu Montparnasse. Myślę, że po raz drugi wyszła za mąż po to żeby nie żyć samotnie. Była jeszcze młoda. Nie wiem, gdzie spotkała wuja Antoine. Któregoś dnia powiedziała mi, że chce wyjść za mąż, i prosiła, żebym była świadkiem...

Maigret nie tracił ani słowa z tego, co mówiła, i dał znak Lapointe'owi — który wyciągnął notes z kieszeni — żeby nic nie zapisywał. Tego rodzaju kobieta z pewnością zamilkłaby, gdyby prowadzono oficjalne przesłuchanie.

— Niech nam pani powie, panno Louette, czy pani ciotka miała powody by obawiać się o swoje życie?

— O ile wiem nie

— Nigdy nie mówiła pani o tajemniczym gościu?

— Nigdy.

— Czy zdarzało jej się odwiedzać panią, telefonować?

— Nie. To ja przychodziłam od czasu do czasu, aby upewnić się, że jest zdrowa i niczego jej nie brakuje. Niepokoiło mnie, że mieszka sama. Coś mogłoby jej się zdarzyć i nikt by nawet nie zauważył.

— Nie przyszło jej do głowy, żeby przyjąć służącą?

— Mogła sobie na to pozwolić, miała dwie renty. Mówiłam jej, że nie powinna mieszkać sama, ale nie godziła się nawet na pomoc służącej. Widzi pan, jak utrzymywała mieszkanie. Nie ma ani śladu kurzu.

— Jest pani, zdaje się, masażystką?

— Tak. Mam dobrą klientelę. Na nic się nie skarży.

— A co z ojcem pani syna?

— Rzucił mnie, zanim mały się urodził. Byłam z tego zadowolona, bo pomyliłam się co do niego. Odbiło mi, jak to mówią. Nie wiem, co się z nim dzieje, i może nawet nie poznałabym go na ulicy.

— Pani syn jest więc zapisany jako dziecko nieznanego ojca i nosi pani nazwisko?

— Tak, nazywa się Emil Louette. Odkąd gra na gitarze po restauracjach, przybrał imię Billy.

— Jesteście w przyjaźni?

— Czasem mnie odwiedza, zwłaszcza wtedy kiedy nie ma pieniędzy. Prowadzi cygański tryb życia, ale to dobry chłopak.

— Czy odwiedzał również pani ciotkę?

— Przychodził razem ze mną, kiedy był dzieckiem. Zdaje mi się, że odkąd skończył piętnaście czy szesnaście lat, już jej nie widywał.

— Mógłby przecież i ją prosić o pieniądze.

— To nie w jego stylu. Mnie tak, bo jestem jego matką, ale nie kogo innego. Jest za dumny.

— Czy pani dobrze zna mieszkanie ciotki?

— Dość dobrze.

— W którym miejscu siedziała najczęściej?

— W tym fotelu, koło okna.

— Jak spędzała dni, wieczory?

— Najpierw sprzątanie, potem zakupy. Później przygotowywała jedzenie. Nie zadowalała się przełkniętym w pośpiechu kawałkiem zimnego mięsa. Choć mieszkała sarna, jadała w pokoju przy stole nakrytym obrusem.

— Często wychodziła?

— Kiedy było ładnie, szła do parku na ławkę.

— Czytała?

— Nie. Skarżyła się na oczy, czytanie ją męczyło. Patrzyła na przechodniów, na dzieci bawiące się w alejkach. Niemal zawsze była leciutko i trochę smutno uśmiechnięta. Na pewno wspominała przeszłość

— Nie zwierzała się pani?

— Cóż mogłaby mi powiedzieć? Miała całkiem zwyczajne życie.

— Nie miała przyjaciółek?

— Jej stare przyjaciółki poumieraly, nie miała ochoty szukać nowych i nawet z tego powodu zmieniała ławkę... teraz to sobie przypominałam.

— Jak dawno?

— Zeszłego roku, pod koniec lata. Siedziała zawsze na tej samej ławce w Tuileries. Pewnego dnia podeszła do niej jakaś kobieta w tym samym mniej więcej wieku i spytała, czy miejsce obok jest wolne. Musiała odpowiedzieć, że tak!.. Nie rezerwuje się miejsc na ławkach. Już pierwszego dnia kobieta zaczęła opowiadać, że jest Rosjanką z pochodzenia, że była sławną tancerką... Nazajutrz ciotka spotkała ją w tym samym miejscu i przeszło godzinę cudzoziemka opowiadała jej o swoich dawnych sukcesach. Długi czas mieszkała w Nicei. Mówiła o tym bez przerwy, skarżąc się na paryski klimat. To jedno z nielicznych zdarzeń, o których opowiadała mi ciotka. „Tak lubiłam moją ławkę! — wzdychała. — Musiałam nie tylko ją zmienić, ale i przenieść się na inne miejsce w parku, żeby mnie nie odnalazła”.

— Ta Rosjanka nigdy tu nie była?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Znając ciotkę wiem, że na pewno jej nie zaprosiła.

— Słowem, nie ma pani pojęcia, kto mógł być mordercą?

— Nie, panie komisarzu. Co mam zrobić z pogrzebem?

— Proszę nam zostawić numer telefonu, będziemy w kontakcie. A właśnie, czy ma pani jakieś stosunkowo niedawne zdjęcie ciotki?

— Ostatnie jest sprzed dwunastu lat, sfotografował ją wuj Antoine. Proszę dzwonić raczej wieczorem, w ciągu dnia jestem zwykle u klientów.

Na ulicy przed bramą dyżurował policjant. — Co pan o niej myśli, szefie?

— Mówi chętnie i w sposób kategoryczny. Janvier rozglądał się dokoła ze zdumieniem.

— Całe mieszkanie jest w tym guście?

— Tak. Sypialnia jeszcze bardziej staroświecka. Lapointe, ponieważ znasz już trochę dom, obejdiesz wszystkie mieszkania. Spytasz ludzi, czy znali staruszkę, w jakich z nią byli stosunkach, czy widzieli ludzi wchodzących do jej mieszkania.

W salonie był jeden tylko sprzęt nowoczesny, telewizor, stojący naprzeciw fotela pokrytego materiałem w kwiatki.

— Teraz — powiedział Maigret — przeszukamy wszystko metodycznie, odnotowując miejsce każdej rzeczy. Zaczęła się przecież niepokoić, kiedy spostrzegła, że przedmioty są poprzesuswane.

Posadzka z wypaczonymi ze starości klepkami wyłożona była nie dywanem, lecz chodnikami, z których jeden podłożony był pod trzy nogi stołu.

Przenieśli stół, zdjęli dywanik, upewnili się, że niczego nie przykrywał. Odstawili na miejsce okrągły stół nakryty szydełkową serwetą. Starannie poustawiali drobne przedmioty, które uprzednio obejrzeliby wielką muszlę z napisem „Dieppe”, fajansową pasterkę, figurkę z imitacji brązu, przedstawiającą ucznia w marynarskim ubranku z tornistrem na plecach.

Na kominku ustawione były fotografie — zdjęcia dwóch mężczyzn, dwóch mężów, którzy, jak się zdaje, mylili się w pamięci starszej pani. Jeden z nich, o pełnej, niemal nalanej twarzy bez zarostu, przybrał dostojną pozę. Z pewnością był to naczelnik wydziału w magistracie.

Drugi, skromniejszy, nosił siwiejące wąsy. To był ten typ mężczyzny, jaki najczęściej spotyka się w metro i w autobusie. Równie dobrze mógł być urzędnikiem, księgowym, co majstrem czy sprzedawcą w domu towarowym, gdzie rzeczywiście pracował. Uśmiechał się, a jego uśmiech był szczery. Widać było, że jest zadowolony z życia.

— A właśnie, Janvier, jak tu weszła ta siostrzenica? Miała klucz?

— Nie, zadzwoniła i otworzyłam jej drzwi.

— Szafa jest zamknięta na klucz. Gdzieś musi leżeć. Najpierw zaczął szukać w białej, skórzanej torebce, którą staruszka pewnie wyciągnęła z szafy w pierwszych dniach wiosny. Nie znalazł w niej szminki, a tylko prasowany puder ryżowy w lekko błękitnym odcieniu i

haftowaną chusteczkę z inicjałem L — Maigret i Janvier mieli wkrótce odkryć, że pani Antoine miała na imię Loontyna. Papierosów nie było. Oczywiście nie paliła. Kupiona na ulicy Rivoli torebka anyżkowych cukierków; na pewno leżały tu od dawna, bo były posklejane.

— Są klucze.

Maigret był niemal przekonany, że znajdzie je w torebce, którą zawsze nosiła przy sobie — trzy klucze od szafy, klucz od pokoju i klucz od drzwi wejściowych.

— Zanim pchnęła drzwi, otworzyła torbę i włożyła klucze do środka. Inaczej klucz zostałby w zamku albo znaleźlibyśmy go na podłodze. Zdążyła jeszcze odłożyć torebkę na fotel i wtedy została zaatakowana.

Maigret mówił machinalnie, raczej do siebie niż do inspektora Janvier. Nie mógł się pozbyć poczucia winy. Ale gdyby nawet przyszedł wczoraj, co by to zmieniło? Nie znalazłby wystarczających racji, by roztoczyć stały nadzór nad mieszkaniem. A morderca, nie wiedząc o jego wizycie, zrobiłby to, co zrobił wczoraj.

Próbował kolejno dopasować klucze do szuflady szafy, wreszcie znalazł właściwy.

Szuflada pełna była papierów i fotografii. Dojrzał książeczkę oszczędnościową wystawioną na nazwisko Leontyny Antoine, quai de la Mégisserie, z wpisem dziesięciu tysięcy franków. Były same wpłaty, ani jednej wypłaty, a pieniądze zaczęto wpłacać dwadzieścia pięć lat temu. I dlatego pod nazwiskiem Antoine przekreślono nazwisko Caramé.

Dwadzieścia pięć lat życia, oszczędzania. Poranne zakupy. Ławki na skwerze po południu, a czasem kiedy padało — może kino?

Była też książeczka bankowa Société Générale z wkładem w wysokości dwudziestu trzech tysięcy dwustu franków. Na kilka dni przed zeszłoroczną Gwiazdką podjęto dwa tysiące pięćset franków.

— Ta suma nic ci nie mówi?

Janvier potrząsnął przecząco głową.

— Telewizor. Założę się, że kupiła go za te dwa tysiące pięćset. Urządziła sobie Gwiazdkę.

Była jeszcze jedna wypłata, sprzed dwunastu lat, odpowiadająca zapewne kosztom pogrzebu drugiego męża.

Karty pocztowe. Większość nosiła podpis — Jean. Wysyłane z różnych miast Francji, Belgii, Szwajcarii, pewnie z okazji kongresów. Tekst zawsze ten sam, pismo piękne, okrągłe: „Czułości — Jean”.

Jean to był Caramé. Antoine nie próżnował sam i nie znaleźli żadnej pocztówki od niego. Natomiast wiele fotografii, jego samego albo ich obojga. Aparat, dość skomplikowany, leżał w tej samej szufladzie.

Zdaje się, że państwo Antoine jeździli na wakacje każdego roku gdzie indziej.— Byli w Quimper, w la Baule, w Arcachon, w Biarritz. Przemierzyli Masyw Centralny, przebywali na Lazurowym Wybrzeżu.

Zdjęcia pochodziły z różnych lat i można by ułożyć je chronologicznie.

Kilka listów, przeważnie od Angeli Louette, siostrzenicy–masażystki. Wysyłane także z różnych stron kraju. „Spędzamy tu z Emilem udane wakacje. Jest już teraz dużym chłopcem i całymi dniami tarza się po wydmach...”

Jedynе zdjęcie tego Emila, który teraz kazał się nazywać Billy — piętnastoletni chłopak patrzy prosto przed siebie, jakby chciał wyzwąć cały świat.

— Nic tajemniczego, nic nieoczekiwanego — westchnął Maigret.

W szufladzie stolika leżały ołówki, piórniki, gumka i papier listowy bez nazwiska i inicjałów. Stara pani Leontyna pewnie nieczęsto pisywała. Do kogóż by miała pisać?

Wyprzedziła peleton tych, których znała i którzy zmarli przed nią. Została tylko siostrzenica i jej syn, po którym, z wyjątkiem fotografii i wzmianki w starym liście jego matki, nie było śladu.

Skrupulatnie przeszukali kuchnię i Maigret znalazł nie znane sobie narzędzia, które, jak sądził, nie pochodziły ze sklepu. Był tam na przykład udoskonalony model klucza do otwierania konserw oraz prosta i pomysłowa maszynka do obierania kartofli.

Zrozumieli, o co chodzi, kiedy wyszli z mieszkania i kolejnym kluczem otworzyli na drugim końcu korytarza pokój, a raczej komórkę, z okienkiem na podwórze. Stał tu stół stolarski, a na ścianach, w idealnym porządku, rozwieszono były narzędzia.

W tej klitce ojciec Antoine zaspokajał swoją pasję majsterkowicza. W kącie, na stole piętrzyły się pisma techniczne, a w szufladzie leżał zeszyt ze szkicami, m.in. z rysunkiem maszynki do obierania kartofli.

Iluż ludzi żyło jak oni, ile było takich małżeństw wśród milionów paryżan? Uporządkowane, spokojne życie.

Zaskakująca była tylko śmierć drobnej, szarookiej staruszki.

— Zostaje nam pokój sypialny i szafy w ścianach.

Cała garderoba składała się z zimowego palta z astrachanu, płaszcz z czarnej wełny, dwóch cieplejszych sukienek, z czego jedna fioletowa, oraz trzech czy czterech sukienek letnich.

Nie było męskich ubrań. Po śmierci drugiego męża pozbyła się pewnie tych rzeczy, chyba że miała mansardę albo część strychu. Trzeba będzie spytać o to dozorczynię.

Wszystko było czyste i uporządkowane, szuflady wyłożone białym papierem.

Ale na papierze wyścielającym szufladę szafki nocnej widniała dosyć duża plama z tłuszczu czy smaru, choć szuflada była pusta.

Maigret, zaintrygowany, powąchał ją i pokazał Janvierowi.

— Jak myślisz, co to jest?

— Smar.

— Tak, ale nie byle jaki. Smar do czyszczenia broni. Starsza pani trzymała rewolwer albo pistolet w tej szufladzie.

— Co się z nim stało?

— Nie widzieliśmy go w mieszkaniu, choć przeszukaliśmy wszystkie kąty. A plama wydaje się świeża. Czy osoba, która zabiła starą...

Trudno było uwierzyć, że morderca, mężczyzna czy kobieta, pomyślał o zabraniu broni.

Ta plama, którą w ostatniej chwili znaleźli, stawiała wszystko pod znakiem zapytania.

Czy starsza pani kupiła rewolwer, aby w razie potrzeby się bronić? To było nieprawdopodobne. Maigret sądził, że raczej bała się broni palnej. Nie wyobrażał sobie zresztą, żeby weszła do rusznikarza, poprosiła o rewolwer i wypróbowała go.

A właściwie dlaczego nie? Czyż nie zdumiała go jej energia? Była wątła, piastki miała nie większe niż u dziecka, a przecież utrzymywała mieszkanie równie dobrze, jeśli nie lepiej niż najlepsza gospodyni.

— Prawdopodobnie pochodzi to z czasów pierwszego czy drugiego męża.

— Ale co się stało z bronią? Oddaj ten papier do laboratorium, niech zrobią analizę tłuszczu. Z góry jestem pewien odpowiedzi.

Usłyszeli dzwonek i Maigret bezwiednie rozejrzał się szukając telefonu.

— To do drzwi — powiedział Janvier.

Poszedł je otworzyć. Wszedł Lapointe, wyglądał na wykończonego.

— Byłeś u lokatorów? U wszystkich?

— U wszystkich, którzy byli w domu. Najdziwniejsze, że ledwie pozwolili mi zadawać pytania. Sami je stawiali. Jak umarła? Jaką bronią się posłużono? Dlaczego nie słychać było wystrzału?

— Opowiadaj.

— W mieszkaniu na górze mieszka sześćdziesięcioletni stary kawaler, który jest podobno znanym historykiem. Na półkach w bibliotece widziałem książki przez niego napisane. Rzadko wychodzi z domu. Ma psa i guwernantkę, która przychodzi codziennie sprzątać i gotować. Mówię „guwernantkę”, bo użył tego słowa. Widziałem ją. Mówi się do niej „panno Elizo”, jest bardzo godna. Mieszkanie jest prawie równie staroświeckie jak to, ale urządzone z lepszym smakiem. W pewnej chwili powiedział mi: „Gdyby chociaż nie kupiła sobie tego przekłętą telewizora! Włączała go niemal co wieczór do jedenastej! A ja wstaję o szóstej rano i wychodzę na spacer...”

Lapointe dodał:

— Nigdy z nią nie rozmawiał. Mieszka tam od dwudziestu lat. Kiedy mijali się na schodach, mówił jej tylko dzień dobry. Przypomina sobie męża, bo ten też był hałaśliwy. Podobno miał warsztat z mnóstwem narzędzi i wieczorem słychać było, jak wbija gwoździe, piłuje, hebluje...

— A mieszkanie naprzeciwno?

— Nikogo nie było. Poszedłem dowiedzieć się czegoś od dozorczyń. Mieszka tam młode małżeństwo. On pracuje jako inżynier dźwięku w jakiejś wytwórni filmowej, ona jest montażystką. Kolacje najczęściej jadają na mieście i wracają późno. Wstają również późno, bo zaczynają pracę w południe.

— Trzecie piętro?

Lapointe zajrzał do notesu.

— Państwo Lapin. Zastałem tylko babcię i dziecko. Żona pracuje w sklepie bieliźniarskim na ulicy Rivoli, mąż jest agentem ubezpieczeniowym. Dużo podróżuje.

— Następne mieszkanie?

— Chwileczkę! Rozmawiałem z babcią, powiedziała mi: „Nie, proszę pana, nie widywałam się z nią. Dla mnie ta kobieta była zbyt sprytna. Dowodem sprawa tych dwóch mężów. Ja też jestem wdową. Czy wyszłam po raz drugi za mąż? Czy mieszkałam z innym mężczyzną w tym samym mieszkaniu, pośród tych samych mebli?”

Lapointe znowu zajrzał do notesu.

— Ojciec Raymond. Nie wiem, do jakiej kategorii go zaliczyć. Jest bardzo stary i właściwie nie opuszcza wcale mieszkania. Nie wiedział nic o istnieniu Leontyny Antoine, eks-Leontyny de Caramé. Poszedłem piętro wyżej. Mieszkanie jest puste, lokatorzy wyprowadzają się za dwa tygodnie. Małżeństwo około czterdziestki i dwoje dzieci, licealistów. Teraz jest remont. Odwiedziłem staruszkę, u którego sprząta dozorczyń. Porusza się w fotelu na kółkach z niesłychaną zręcznością. Myślałem, że spotkam przygnębionego, zgorzkniałego człowieka, a on tryska humorem. „A więc zabito ją? — wykrzyknął. — Od pięćdziesięciu lat, jeśli nie więcej, nic się w tym domu nie wydarzyło! Nareszcie mamy morderstwo. Czy wiadomo, kto to zrobił? Przypuszczam, że nie jest to zbrodnia w afekcie?”

Po chwili Lapointe dorzucił:

— Rozśmieszyło go to. Był ubawiony. Gdyby mógł zejść, poprosiłby pewnie, żebym mu pozwolił obejrzeć miejsce zbrodni. Naprzeciwno mieszka pani Blanche, ma pod sześćdziesiątkę i jest kasjerką w winiarni. Nie widziałem jej, bo wraca dopiero o północy.

Cały ten światek żył sobie obok siebie. Starsza pani z pierwszego piętra została zamordowana i nikim to specjalnie nie wstrząsnęło. „Jak ją zabito?” „Kto to zrobił?” „Dlaczego nie krzyczała?”

Większość mieszkańców pozdrawiała się tylko na schodach, nie rozmawiali z sobą. Każdy żył we własnej klatce, przy zamkniętych drzwiach.

— Zostaniesz tu, aż przyślę kogoś, kto cię zmieni — powiedział Maigret do Janvier. — To się może wydawać śmieszne, ale mam wrażenie, że ten ktoś, mężczyzna czy kobieta, kto tak uporczywie przeszukiwał mieszkanie, może tu jeszcze wrócić.

— Niech pan przyśle Torrence'a, jeśli jest wolny. Uwielbia telewizję.

Maigret sam zabrał arkusz poplamionego olejem czy smarem papieru. Na Quai des Orfèvres wszedł prosto na poddasze, gdzie Moers kierował pracą laboratorium.

— Proszę zbadać tę plamę.

Moers powąchał ją, spojrział na Maigreta, jakby chcąc powiedzieć, że to proste, i wręczył papier jednemu ze specjalistów pracujących w tym ogromnym pomieszczeniu z pochyłym sufitem.

— To, co myślałem. Smar do broni.

— Muszę mieć oficjalną analizę, jak dotąd to nasza jedyna poszlaka. Czy to stara plama?

— On nam powie, ale potrzebuje trochę więcej czasu.

— Dziękuję. Proszę mi przysłać wyniki.

Wstąpił do swego gabinetu, potem do pokoju inspektorów. Był tam Torrence i Lapointe, który redagował raport na podstawie zebranych notatek.

— Powiedz, Torrence, nie jesteś głodny? Gruby Torrence wydawał się zdumiony.

— O piątej po południu?

— Później nie będziesz miał pewnie czasu na zjedzenie czegośkolwiek. Idź coś zjeść albo kup sobie kanapki. Pójdiesz na quai de la Mégisserie i zastąpisz Janviera w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Zmienię cię jutro rano. Klucze znajdziesz na okrągłym stole w salonie. Uważaj, morderca też ma klucz, więc nie musi wyłamywać drzwi.

— Sądzi pan, że wróci?

— Ta sprawa jest tak dziwna, że wszystko możliwe.

Maigret zadzwonił do doktora Forniaux.

— Czy zdążył pan zrobić autopsję?

— Właśnie miałem podyktować raport. Wie pan, że przy swojej budowie ta kobieta mogła dożyć stu lat? Organizm ma w równie dobrym stanie, co młoda dziewczyna. Została uduszona, od razu tak pomyślałem. Mogę dodać, że przy pomocy szalika czy kawałka materiału zawierającego czerwone nitki, bo znalazłem taką nitkę w zębach. Próbowwała gryźć. Z pewnością walczyła, zanim zabrakło jej tlenu.

— Dziękuję panu, doktorze. Czekam na pański raport.

— Będzie pan go miał jutro rano. Z pierwszą pocztą. Pani Antoine nie piła, w mieszkaniu nie było wina, żadnego alkoholu. Jadała dużo sera. Te szczegóły przypominał sobie komisarz, gdy patrzył na ruch uliczny na moście Saint-Michel. Pod mostem przepływały barki ciągnięte przez holownik z wymalowaną na kominie ogromną, białą koniczyną.

Niebo było różowe, lekko zaniebieszczone, liście na drzewach miały barwę świeżej zieleni, ptaki świergotały nieprzerwanie.

W tym momencie policjant, który pierwszy zauważył starszą panią, poprosił o przyjęcie go przez komisarza.

— Nie wiem, czy to pana interesuje. Widziałem fotografię w gazecie. Znam tę kobietę. To znaczy widziałem ją jakiś tydzień temu. Kręciła się długo po ulicy zaglądając w okna i na podwórze. Myślałem, że się do mnie odezwie, ale odeszła nic nie mówiąc. Nazajutrz wróciła i ośmieliła się wejść na podwórze. Nie zatrzymywałem jej. Myślałem, że to turystka jak inne... Dzień później na warcie stał Lacoour. Widział, jak wchodzi na podwórze i bez wahania kieruje się do biur Policji Śledczej. Nie pytał ją o wezwanie, bo taka była stanowcza...

— Dziękuję. Proszę zrobić raport. Lacoour również.

A więc krążyła wokół Policji Śledczej, zanim zdecydowała się prosić o przyjęcie przez komisarza Maigret. Ten posłał ją do Lapointe'a, którego wzięła za jego syna.

Nie przeszkodziło jej to oczekiwać komisarza na ulicy.

Stary Joseph zapukał do drzwi i, rzecz jasna, otworzył je, zanim usłyszał odpowiedź.

Podał blankiet, na którym było napisane: „Billy Louette”.

A przecież parę godzin wcześniej masażystka powiedziała, że jej syn jest gdzieś na Lazurowym Wybrzeżu.

— Wpuść go, Joseph.

ROZDZIAŁ III

— Sądzę, że mnie poszukujecie?

— Jeszcze nie. Pańska matka mówiła, że jest pan na Lazurowym Wybrzeżu.

— Wie pan, to, co moja matka opowiada... Mogę zapalić?

— Jeśli ma pan ochotę.

Młody człowiek nie wydawał się przejęty tym, że znajduje się w biurze Policji Śledczej, i patrzył na Maigreta jak na byle urzędnika.

Nie wyglądało to na wyzwanie czy ostentację. Miał długie, rude włosy, ale nie był hippisem. Pod zamszową kurtką nosił kraciatą koszulę; spodnie z beżowego sztruksu, na nogach mokasyny.

— Kiedy przeczytałem w gazecie, co się stało z babką, od razu pomyślałem, że będziecie chcieli się ze mną zobaczyć.

— Cieszę się, że pan przyszedł.

Wcale nie był podobny do masażystki. Ona była wysoka i tęga, szeroka w ramionach, on — mały, raczej chudy, z chabrowymi oczami.

Maigret usiadł przy biurku i wskazał mu fotel naprzeciwko.

— Dziękuję. Co się właściwie stało ze starą? W gazetach niewiele piszą.

— Piszą to, co wiemy: że została zamordowana.

— Czy coś skradziono?

— Wygląda na to, że nie.

— Prawda, nigdy nie trzymała w domu większej ilości pieniędzy.

— Skąd pan to wie?

— Odwiedzałem ją czasem.

— Kiedy był pan bez grosza?

— Oczywiście. Cóż miałbym jej do powiedzenia? Moje sprawy jej nie interesowały.

— Dawała panu pieniądze?

— Na ogół stufrankowy banknot, ale nie mogłem przychodzić za często.

— Mówiono mi, że jest pan muzykiem.

— Jestem gitarzystą, to prawda. Należę do małego zespołu, który nazywa się „Nicponie”.

— Może pan tym zarobić na życie?

— Raz lepiej, raz gorzej. Czasami angażuje nas jakaś porządna knajpa, czasami grywamy po kawiarniach. Co moja matka panu naopowiadała?

— Nic specjalnego.

— Widzi pan, nie da się powiedzieć, żeby rozpieła ją miłość macierzyńska. Przede wszystkim mamy zupełnie różne charaktery. Matka myśli tylko o pieniądzach, o starości, jak mówi, i ciuła grosze. Gdyby to było możliwe, nie jadłaby, żeby zebrać jak najwięcej.

— Czy lubiła ciotkę?

— Nie znosiła jej. Słyszałem, jak wzdychała: „Czy ta stara nigdy nie zdechnie?”

— Dlaczego pragnęła jej śmierci?

— Żeby dostać spadek, rzecz jasna. Z renty po obu mężach stara musiała uciulać kawał grosza. Ja ją dosyć lubiłem. Myślę, że ona też mnie lubiła. Zawsze chciała mi robić kawę i częstowała ciasteczkami. „Pewnie nie jadasz co dzień? Dlaczego nie wybierzesz sobie jakiegoś dobrego fachu?” Matka też chciała, żebym wyuczył się zawodu. Wybrała za mnie, kiedy nie miałem jeszcze piętnastu lat... Chciała, żebym został ortopedą: „Jest ich tak mało, że czasem trzeba czekać miesiąc na wizytę. Ten zawód popłaca i nie jest przykry”.

— Kiedy po raz ostatni widział pan babkę?

— Jakieś trzy tygodnie temu. Pojechaliliśmy stopem do Londynu. Spodziewaliśmy się, że ktoś nas zaangażuje, ale oni są lepsi od nas i mają tyle zespołów, ile zechcą. Wróciliśmy bez grosza i poszedłem do starej.

— Dała panu sto franków?

— Tak. I ciasteczko

— Gdzie pan mieszka?

— Często zmieniam adres. Czasem mieszkam z jakąś dziewczyną, czasem sam. Jak teraz. Mam pokój umeblowany w hoteliku na ulicy Mouffetard.

— I pracuje pan?

— Trochę. Zna pan „Bongo”?

Maigret potrząsnął głową. Młody człowiek wydawał się zdziwiony, że ktoś może nie znać „Bongo”.

— To mała restauracja na placu Maubert. Właściciel pochodzi z Owernii, szybko się zorientował, co się dzieje w dzielnicy. Przyciąga hippisów i czasem daje im pić za darmo. Angażuje również artystów w zamian za kolację i parę franków. Tak jak nas, każdego wieczoru wpadamy tu dwa, trzy razy. Jest też dziewczyna, która wspaniale śpiewa. To przyciąga klientów. Przychodzą przyjrzeć się z bliska osławionym hippisom i nie wierzą, kiedy mówimy, że nie palimy haszyszu ani marihuany.

— Zamierza pan zostać muzykiem?

— Mam nadzieję. Tylko to się dla mnie liczy. Zacząłem nawet komponować, ale nie znalazłem jeszcze własnej formy. W każdym razie mogę panu powiedzieć, że nie zabiłem starej. Po pierwsze zabijanie ludzi nie jest w moim stylu. Po drugie, wiem, że byłbym od razu podejrzany.

— Miał pan klucz do mieszkania?

— Co bym z nim robił?

— Gdzie pan był wczoraj około szóstej po południu?

— W łóżku.

— Sam?

— Tak, nareszcie sam. Prawie całą noc spędziliśmy w „Bongo”. Poderwałem dziewczynę, która wyglądała sympatycznie. Ze Skandynawii, Dunka albo Szwedka. Dużo wypiliśmy. O świcie zabrałem ją do siebie i dopiero koło— trzeciej po południu mogłem wreszcie zasnąć. Później usłyszałem, że wyłazi z łóżka i hałasuje. Nie rozbudziłem się tak całkiem, ale czułem, że łóżko koło mnie jest puste. Byłem zmachany, wypompowany, miałem kaca i wstałem dopiero po dziewiątej.

— Słowem, nikt pana nie widział między piątą a dziewiątą?

— Zgadza się.

— Mógłby pan odnaleźć tę dziewczynę?

— Jeśli nie będzie jej dziś wieczór w „Bongo”, to będzie w jakiejś innej knajpie w dzielnicy.

— Znał pan ją?

— Nie.

— A więc to nowa?

— To nie jest tak, jak pan myśli. Przychodzimy, odchodzimy. Powiedziałem panu, że byliśmy w Londynie. Byliśmy też w Kopenhadze, stopem, i wszędzie znajdujemy kumpli.

— Wie pan, jak się nazywa?

— Znam tylko imię: Hilda. Wiem też, że jej ojciec jest jakimś ważnym urzędnikiem.

— Ile ma lat?

— Powiedziała, że dwadzieścia dwa. Nie wiem już, z kim się miała spotkać, gdyby nie to, zostałyby może ze mną parę tygodni. To tak się właśnie odbywa. Potem się rozstajemy, na ogół nie wiedząc dlaczego zostajemy kumplami.

— Niech mi pan opowie o swoich stosunkach z matką.

— Mówiłem panu, że nie mamy wspólnego języka.

— Ale to ona pana wychowywała?

— Nie zależało jej na tym i dlatego zawsze miała pretensję do starej. Myślała, że stara będzie się mną opiekować. Pracowała, więc co rano prowadziła mnie do żłobka i odbierała wieczorem. Później to samo było ze szkołą. Nie podobało jej się, że ma dziecko, i przeszkadzało jej to, kiedy przyjmowała mężczyzn.

— Było ich wielu?

— To zależy. Przez sześć miesięcy mieszkaliśmy z facetem, którego musiałem nazywać tato i który na ogół siedział w domu...

— Nie pracował?

— Był podobno komiwojazerem, ale dużo nie jeździł. Kiedy indziej słyszałem w nocy hałas, a nazajutrz nie znajdowałem nikogo. Niemal zawsze byli to mężczyźni młodszy od niej, zwłaszcza ostatnio. Dwa tygodnie temu spotkałem ją na bulwarze Saint-Germain z facetem, którego dość często widywałem w knajpach. Nazywają go Długi Marcel.

— Zna go pan?

— Osobiście nie, ale ma opinię alfonsa. Wie pan; ona chętnie zagląda do butelki.

Był jednocześnie cyniczny i niewinny.

— Ja nie podejrzewam, że to matka zabiła starą. Jest taka, jaka jest. Ja też jestem taki, jaki jestem, i nie mogę się zmienić. Może będę kiedyś gwiazdorem, a może wykołajeńcem, jakich wielu na Saint-Germain. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Na pewno, ale w tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy. Jest pan zadowolony z życia?

— Na ogół tak.

— Nie wolałby pan zostać ortopedą, jak chciała pańska matka? Byłby pan z pewnością żonaty, miałby pan dzieci.

— To mnie nie nęci. Może później.

— Jakie wrażenie zrobiła na panu śmierć babki?

— Ukłucie w sercu. Nie znałem jej dobrze. Dla mnie była bardzo starą kobietą, która od dawna powinna leżeć w grobie. Ale lubiłem ją. Lubiłem zwłaszcza jej oczy, jej uśmiech. „Jedz” — mówiła i z rozczuleniem patrzyła, jak jem ciasteczka. Poza moją matką byłem jej całą rodziną. „Naprawdę nie chcesz ściąć włosów?” To ją najbardziej martwiło. „Wyglądasz z nimi na takiego, jakim nie jesteś. Bo w gruncie rzeczy dobry z ciebie chłopak”. Kiedy będzie pogrzeb?

— Jeszcze nie wiem. Proszę zostawić mi adres. Uprzedzę pana. Pewnie za dwa dni. Częściowo zależeć to będzie od sędziego śledczego.

— Myśli pan, że cierpiała?

— Ledwie się broniła. Czy ma pan wełniany szalik czerwony albo w czerwony wzorek?

— Nigdy nie noszę szalika. Dlaczego pan pyta?

— Nieważne. Szukam. Po omacku.

— Nikogo pan nie podejrzewa?

— Konkretnych podejrzeń nie mam.

— Może to był zboczeniec?

— Dlaczego wybrałby panią Antoine i dlaczego napadłby na nią w budynku pełnym ludzi? Morderca czegoś szukał.

— Pieniędzy?

— Nie jestem pewny. Jeśli ją znał, to wiedział, że trzyma w domu tylko bardzo małe sumy. Poza tym wiele razy był w mieszkaniu pod jej nieobecność. Nie wie pan, czy miała jakieś przedmioty wartościowe?

— Miała biżuterię, ale niewiele warta. Skromne klejnoty, jakie podarowali jej obaj mężowie.

Maigret znalazł je. Pierścioneł z granatem i kolczyki do kompletu, a także złotą bransoletkę i mały złoty zegarek.

W tym samym pudełku przechowywała spinkę do krawata z perłą, która należała zapewne do pana Caramé, oraz srebrne spinki do mankietów. Wszystko to było niemodne i praktycznie nie miało żadnej wartości handlowej.

— Czy miała jakieś dokumenty?

— Co pan nazywa dokumentami? To była stara, zwyczajna kobieta, która prowadziła spokojne życie, najpierw z pierwszym mężem, później z drugim. Nie znałem pana Caramé, bo umarł na krótko przed moim urodzeniem, ale znałem drugiego, Josepha Antoine, który był porządnym człowiekiem...

Maigret podniósł się z westchnieniem.

— Często odwiedza pan matkę?

— Prawie nigdy.

— Nie wie pan, czy jest teraz sama, czy też pan Marcel, o którym pan wspomniał, u niej mieszka?

— Nie, nie wiem.

— Dziękuję za to, że pan przyszedł, panie Louette. Może któregoś wieczoru wpadnę pana posłuchać.

— Najlepiej przyjsć o jedenastej.

— O tej porze zwykle leżę w łóżku.

— Dalej jestem podejrzany?

— Dopóki nie znajdziemy dowodów niewinności, dopóty wszyscy są podejrzani, ale pan nie bardziej niż ktokolwiek inny.

Maigret Zamknął drzwi za młodym człowiekiem i oparł się o parapet okna. Zapadał wieczór. Kontury zacierają się. Dowiedział się wielu rzeczy, które mu jednak niczego nie wyjaśniały.

Czego można było szukać u starej kobiety na quai de la Mégisserie?

Od ponad czterdziestu lat mieszkała w tym samym mieszkaniu. Jej pierwszy mąż nie miał w sobie nic tajemniczego, potem przez prawie dziesięć lat była wdową.

Drugi mąż również nie budził podejrzeń. Umarł przed laty, a ona wiodła ciche, monotonne życie, nie widując nikogo poza siostrzenicą i jej synem.

Dlaczego nie przetrząsnęto jej mieszkania wcześniej? Czy to, czego szukano, znajdowało się tam od niedawna?

Wzruszył ramionami, zaklął i zajrzał do pokoju inspektorów.

— Do jutra, dzieci.

Wracając do domu autobusem myślał, że ma doprawdy dziwny zawód. Patrzył na anonimowych sąsiadów, mówiąc sobie w duchu, że w każdej chwili może się zdarzyć, iż będzie musiał zainteresować się życiem jednego z nich.

Długowłosy rudzielec wydał mu się raczej sympatyczny, natomiast dziwnie było zadawać niedyskretne pytania jego matce.

Pani Maigret jak zwykle otworzyła drzwi, gdy tylko wszedł na piętro.

— Jesteś czymś zaprzątnięty.

— Jest czym. Prowadzę sprawę, z której nic nie rozumiem.

— Zabójstwo starej kobiety?

Oczywiście czytała gazetę i słuchała radia.

— Widziałeś ją żywą?

— Tak.

— I co o niej pomyślałeś?

— Powiedziałem sobie, że to wariatka albo zbzikowana staruszka. Drobna, delikatna osoba, która błagała, żebym się nią zajął, jak gdybym był jedyną istotą na świecie zdolną jej pomóc.

— Zrobiłeś coś?

— Nie mogłem żądać, by inspektor pilnował jej w dzień i w nocy. Skarżyła się tylko na to, że po powrocie do domu nie znajduje rzeczy na ich zwykłym miejscu. Przyznaję, iż wydawało mi się, że coś sobie roi albo że traci pamięć. Mimo to obiecałem sobie, że ją odwiedzę, i to raczej tylko po to, żeby ją uspokoić. Wczoraj zapewne wróciła wcześniej niż zwykle i jej gość był jeszcze w mieszkaniu. Wystarczył szalik czy jakiś kawałek materiału, aby ją udusić...

— Ma rodzinę?

— Tylko siostrzenicę i jej syna. Widziałem ich oboje. Siostrzenica jest wielka i potężna jak mężczyzna. Jest masażystką. Natomiast młody człowiek jest mały, chudy, ma rude włosy, gra na gitarze w jakiejś knajpie na placu Maubert.

— Niczego nie skradziono?

— Nie sposób ustalić. Jedyną poszlaką, jeśli można tu mówić o poszlacie, jest to, że w szufladzie szafki nocnej leżał kiedyś rewolwer i że już tam nie leży.

— Nie zabija się z zimną krwią starej kobiety dla rewolweru ani nie przeszukuje się wiele razy mieszkania, żeby go zabrać.

— Siadajmy do stołu!

Kolację zjedli we dwoje, przy otwartym oknie, nie włączając telewizora. Było ciepło. Nieruchome powietrze nasycalo się przyjemnym chłodem i ledwie słycać było szelest liści na drzewach.

— Ponieważ nie przyszedłeś w południe, odgrzałam ci potrawkę z jagnięcia.

— Dobrze zrobiłaś.

Jadł z apetytem, ale myślami był daleko. Widział starszą panią w szarej sukni stojącą na chodniku Quai des Orfèvres, jej oczy błyszczące podziwem i zaufaniem.

— Może byś pomyślał o czymś innym?

— Chciałbym bardzo. Ale nie mogę. Nie znoszę rozczarowywać ludzi, a w tym przypadku biedna staruszka straciła życie.

— Nie poszedłbyś na spacer?

Zgodził się. Nie chciał siedzieć w domu przez cały wieczór. Poza tym, kiedy prowadził dochodzenie, miał zwyczaj — można by powiedzieć manię — powtarzania codziennie tych samych gestów.

Doszli do placu Bastylli, tam usiedli na tarasie kawiarni. Długowłosy gitarzysta grał kręcąc się między stolikami, a ciemnooka dziewczyna wyciągała talerzyk do klientów.

Oczywiście od razu pomyślał o rudzielcu, który w chwilach nędzy też musiał grywać po kawiarniach.

Maigret był dziś hojniejszy niż zwykle i żona to zauważyła. Uśmiechnęła się lekko, nic nie mówiąc, i dość długo siedzieli patrząc na światła nocy.

Maigret powoli palił fajkę, lekko się zaciągając. Przez chwilę pragnął pójść do „Bongo”. Ale po co? Czegóż więcej by się tam dowiedział?

Lokatorzy domu przy quai de la Mégisserie też byli podejrzani. Ktoś z nich mógł znać starszą panią lepiej, niż się do tego przyznaje. Łatwo było zdjąć odcisk z zamka i dorobić klucz.

Dlaczego? To pytanie nieustannie powracało w myśli Maigreta. Dlaczego? Skąd te częste wizyty? Przecież nie dla tych paru groszy, nie dla łatwych do znalezienia kilkuset franków leżących w szufladzie komody. A przecież ich nie tknięto. Maigret znalazł banknoty włożone do książeczki oszczędnościowej.

— Jutro zarządzę dochodzenie w sprawie obu mężów.

To wydawało się śmieszne. Tym bardziej że drugi umarł wiele lat temu.
Gdzieś tkwił sekret, sekret na tyle ważny, że warto było poświęcić życie człowieka.
— Pójdziemy?

Wypił mały kieliszek calvadosu i omal nie zamówił drugiego. To nie spodobałoby się jego przyjacielowi Pardon, który ostrzegał go przed piciem napojów alkoholowych. „Można latami pić wino czy inny alkohol, aż przychodzi wiek, kiedy organizm już tego nie toleruje”.

Wzruszył ramionami, wstał i zaczął przeciskać się między stolikami. Na ulicy pani Maigret wzięła go pod ramię. Bulwar Beaumarchais. Ulica Servan. Potem bulwar Richard–Lenoir i stare, znajome mieszkanie.

Wbrew własnym obawom zasnęła prawie natychmiast.

W ciągu nocy nic się nie wydarzyło na quai de la Mégisserie i gruby Torrence mógł spokojnie spać w fotelu starszej pani. O ósmej rano Lourtie poszedł go zastąpić i zastał reportera na ożywionej rozmowie z dozorczynią.

O dziewiątej ospały i mrukliwy Maigret otworzył drzwi do pokoju inspektorów i dał znak Janvierowi i Lapointe’owi, aby za nim poszli.

— Właściwie chodź i ty, Lucas.

Usiadł przy biurku i długo wybierał fajkę, jakby to była sprawa wielkiej wagi.

— Otóż to, dzieci. Od wczoraj rano nie posunęliśmy się ani o krok. Ponieważ nie możemy niczego znaleźć w teraźniejszości, będziemy grzebać w przeszłości. Ty, Lucas, pójdziesz do „Bazar de l’Hôtel de Ville”, do działu narzędzi ogrodniczych. Powinni tam jeszcze być sprzedawcy, którzy zaczynali pracę za czasów ojca Antoine. Stawiaj im pytania, jakie tylko zechcesz. Chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej o tym człowieku, o jego mentalności, sposobie życia itp.

— Tak jest, szefie. Czy nie lepiej, żebym poprosił dyrekcję o pozwolenie na przeprowadzenie tych rozmów? Nie ośmielę się odmówić, a pracownicy poczują się swobodniej, niż gdybym pytał ich jakby po kryjomu.

— Zgoda. Ty, Janvier, pójdziesz do magistratu i zrobisz to samo w sprawie Caramé. To będzie trudniejsze, bo umarł jeszcze dawniej. Jeśli ci, którzy go znali, są na emeryturze, weź ich adresy i idź do nich.

To oczywiście rutyna, ale zdarza się, że rutyna popłaca.

— Natomiast ty, Lapointe pójdziesz ze mną.

Na podwórzu młody inspektor zapytał:

— Bierzymy samochód?

— Nie. Przejdziemy tylko na drugą stronę mostu. Ulica Saint–Andre–des–Arts. Samochodem byłoby dłużej.

Dom był stary, jak ten na quai de la Mégisserie i jak wszystkie domy w tej dzielnicy. Na prawo od bramy mieścił się sklep z ramami, na lewo ciastkarnia. Oszklone drzwi mieszkania dozorca wychodziły na korytarz prowadzący na podwórze.

Maigret wszedł do dozorczyńni i przedstawił się. Była to mała, pulchna kobiecina o czerwonej twarzy, która w dzieciństwie musiała mieć dołeczki w policzkach i miała je jeszcze teraz, kiedy się uśmiechała.

— Spodziewałam się, że przyjdzie ktoś z policji.

— Dlaczego?

— Kiedy przeczytałam, co spotkało tę biedną starszą panią, pomyślałam, że jedna z moich lokatorek jest jej siostrzenicą.

— Mówi pani o Angeli Louette?

— Tak.

— Mówiła pani o swojej ciotce?

— Nie jest rozmowna, ale czasami zatrzymuje się i zamienia ze mną parę słów. Raz rozmawialiśmy o nieuczciwych dłużnikach. Mówiła, że ma takich nawet wśród swoich klientów, ale że nie ośmiela się nalegać, ponieważ to ludzie z nazwiskiem. „Na szczęście dostanę kiedyś spadek po mojej ciotce!” — tak się wyraziła. Opowiedziała mi, że ciotka miała dwóch mężów, dostaje dwie renty i że pewnie zaoszczędziła sporo pieniędzy.

— Często ma gości?

Dozorczyni wydawała się zakłopotana.

— O co panu chodzi?

— Czy odwiedzają ją przyjaciółki?

— Przyjaciółki nie.

— Klientki?

— Nie pracuje w domu. Chodzi do ludzi.

— Przyjmuje mężczyzn?

— Właściwie nie wiem, dlaczego miałabym tego nie mówić. Tak, to się zdarza. Jeden nawet został z nią przez prawie pół roku. Był o dziesięć lat od niej młodszy, sam chodził na zakupy i zajmował się domem.

— Ona jest teraz w domu?

— Wyszła godzinę temu, bo wcześniej zaczyna pracę. Ale ktoś jest na górze.

— Jeden ze stałych gości?

— Nie wiem. Wczoraj wróciła dość późno. Kiedy otwierałam drzwi, słyszałam kroki dwóch osób. A nie widziałam, żeby ktoś wychodził.

— To się często przytrafia?

— Nieczęsto, ale czasem...

— A jej syn?

— Właściwie nigdy nie przychodzi. Nie widziałam go od miesiący. Wygląda trochę na hippisa, ale to dobry chłopak.

— Dziękuję pani. Pójdziemy zajrzeć na górę.

Windy nie było. Okna mieszkania wychodziły na podwórze. Drzwi nie były zamknięte na klucz i Maigret wszedł do środka, a Lapointe za nim. Znaleźli się w living-roomie umeblowanym dosyć nowocześnie, w stylu reklamowanym przez wielkie magazyny.

Nie słysząc żadnych odgłosów Maigret pchnął drzwi do pokoju i w dwuosobowym łóżku zobaczył mężczyznę, który otworzył właśnie oczy i patrzył na nich z osłupieniem.

— Co jest? Czego ode mnie chcecie?

— Chciałem zobaczyć się z Angielą Louette, ale ponieważ pana mam pod ręką...

— Czy pan nie jest aby...

— Komisarz Maigret, tak. Spotkaliśmy się już, dawno temu. Był pan wtedy barmanem na ulicy Fontaine. Nazywano pana Długi Marcel.

— Nadal mnie tak nazywają. Jeśli to panu nie przeszkadza, proszę mi dać trochę czasu, żebym wciągnął spodnie. Jestem nagi.

— Niech się pan nie krępuje.

Był chudy i kościsty. W pośpiechu wkładał spodnie, szukając stojących pod łóżkiem pantofli.

— Wie pan, z Angielą wcale nie jest tak, jak pan sobie wyobraża. Jesteśmy przyjaciółmi. Wczoraj spędziliśmy wieczór razem i nie czułem się zbyt dobrze. Więc zamiast jechać przez cały Paryż do siebie, na bulwar Batignolles...

— Oczywiście. I zupełnie przypadkowo znalazł pan tu swoje pantofle.

Maigret otworzył szafę. Wisiały tam dwa męskie garnitury, obok leżały koszule, skarpetki i kalesony.

— W porządku. Teraz opowiadaj.

— Mogę sobie zrobić kawy?

Maigret poszedł za nim do kuchni. Marcel przygotowywał kawę, tak jakby robił to codziennie.

— Nie ma nic do opowiadania. Byłem raz na wozie, raz pod wozem, wie pan o tym. Nigdy nie byłem sutenerem, jak mi to próbowano wmówić. Zresztą, w końcu zmuszeni byli mnie wypuścić.

— Ile pan ma lat?

— Trzydzieści pięć.

— A ona?

— Nie wiem dokładnie. Koło pięćdziesiątki. Może ma pięćdziesiąt.

— Słowem, wielka miłość?

— Jesteśmy dobrymi kumplami. Nie może się obejść beze mnie. Jeżeli przez tydzień nie przychodzę, szuka mnie wszędzie tam, gdzie bywam.

— Gdzie pan był przedwczoraj wieczór?

— Przedwczoraj? Chwileczkę! Niedaleko stąd, bo byłem umówiony z Angelą o siódmej.

— Nie mówiła mi o tym.

— Nie pomyślała. Mieliśmy razem zjeść kolację. Wypiłem aperitif w kawiarni na Saint-Germain.

— Przyszła o siódmej?

— Może trochę później. Tak, nawet bardzo się spóźniła. Musiała czekać na klientkę. Przyszła trochę po wpół do ósmej.

— Zjedliście razem kolację, jak to było przewidziane?

— Tak. Potem poszliśmy do kina. Może pan sprawdzić. Restauracja „Lucio” na quai de la Tournelle. Znają mnie tam.

— Jaki jest pański obecny zawód?

— Prawdę mówiąc, szukam pracy, ale trudno teraz coś znaleźć.

— Ona pana utrzymuje?

— Specjalnie używa pan raniących słów, prawda? Dlatego tylko, że ileś tam lat temu policja niesłusznie mnie oskarżała. Owszem, czasami pożyczka mi trochę pieniędzy. Sama dużo nie zarabia.

— Miał pan zamiar spędzić w łóżku cały ranek?

— Ona powinna przyjść za parę minut. Ma godzinną przerwę między dwiema wizytami. Była u pana wczoraj i powiedziała wszystko, co wie. Po co przyszedł pan tu dzisiaj?

— No widzi pan, dzięki temu mogłem pana spotkać!

— Czy nie moglibyście wyjść do drugiego pokoju? Chciałbym wziąć prysznic.

— Pozwalam panu nawet ogolić się — ironicznie odpowiedział Maigret.

Lapointe nie mógł ochłonąć po odkryciu, jakiego dokonali.

— Zatrzymano go trzy czy cztery razy za stręczycielstwo. Podejrzewano również, że jest wtyczką bandy Korsykanów, którzy panoszyli się w Paryżu kilka lat temu. Ale wywiłał się jak piskorz i niczego nie można mu było udowodnić.

Usłyszeli kroki na schodach. Drzwi się otworzyły. Siostrzenica pani Antoine zastygła w progu.

— Niech pani wejdzie! Przyszedłem złożyć pani wizytę.

Spojrzała szybko w stronę drzwi do sypialni.

— Tak, on tam jest. W tej chwili bierze prysznic, potem się ogoli.

Zamknęła drzwi wzruszając ramionami.

— W końcu nikogo poza mną to nie obchodzi, prawda?

— Być może.

— Dlaczego pan mówi: być może?

— Tak się składa, że to jeden z moich dawnych znajomych i że oddawał się niegdyś zajęciom, które prawo potępia.

— Chce pan powiedzieć, że to złodziej?

— Nie. O ile mi wiadomo. Ale kiedy był barmanem, dwie lub trzy dziewczyny pracowały dla niego w dzielnicy, łącznie z fordanserką z tego samego lokalu.

— Nie wierzę. Gdyby to było prawdą, wsadziliby go.

— Istotnie, nie wsadzili go z braku dowodów.

— Wszystko to nie wyjaśnia mi jeszcze, po co pan tu przyszedł.

— Chciałbym przede wszystkim zadać pani jedno pytanie. Wczoraj mówiła mi pani o synu i powiedziała pani, że przebywa na Lazurowym Wybrzeżu...

— Powiedziałam panu, że tak przypuszczam...

— W rzeczywistości nie wyjeżdżał z Paryża i odbyliśmy bardzo interesującą rozmowę.

— Wiem, że mnie nie lubi.

— Podobnie jak pani nie lubiła swojej ciotki, prawda?

— Nie wiem, co panu naopowiadał. To narwaniec. Nigdy do niczego nie dojdzie.

— W dniu, kiedy zamordowana została pani ciotka, była pani umówiona z Marcelem w kawiarni na Saint-Germain o siódmej.

— Jeśli tak panu powiedział, to znaczy, że to prawda.

— O której pani przysła?

To ją trochę speszyło i wahała się z odpowiedzią.

— Musiałam czekać na klientkę. Przyszłam pewnie gdzieś o wpół do ósmej.

— Gdzie byliście na kolacji?

— We włoskiej restauracji „Lucio” na quai de la Tournelle

— A potem?

— Poszliśmy do kina na Saint-Michel.

— Czy wie pani, o której godzinie została zamordowana ciotka?

— Nie. Wiem tylko to, co pan mi powiedział. — Między wpół do szóstej a siódmą.

— Co to zmienia?

— Czy ma pani rewolwer?

— Ale skąd! Nie wiedziałabym, jak się nim posługiwać.

Świeżo ogolony Marcel wszedł do pokoju. Miał na sobie białą koszulę i wiązał właśnie niebieski, jedwabny krawat.

— No widzisz — powiedział żartobliwym tonem — obudzili mnie ci panowie. Ujrzałem ich nagle w nogach łóżka. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie jestem w kinie.

— Ma pan rewolwer? — zapytał Maigret.

— Nie jestem taki głupi! Najlepszy sposób, żeby dać się zamknąć.

— Pod jakim numerem mieszka pan na bulwarze Batignolles?

— Pod 27.

— Dziękuję wam obojgu za współpracę. Co się tyczy ciotki, może pani odebrać ciało z Instytutu Medycyny Sądowej i urządzić pogrzeb w dniu, który pani odpowiada.

— Zapłacę z własnej kieszeni?

— To pani sprawa. Ponieważ była pani najbliższą rodziną, odziedziczy pani sumę, z której, po opłaceniu pogrzebu, na pewno coś niecoś zostanie.

— Co mam zrobić? Czy powinnam zwrócić się do notariusza?

— Niech się pani zwróci do banku, poinformują tam panią. Jeżeli pani o tym nie wie, to w szufladzie komody jest książeczka oszczędnościowa i karnet czeków.

— Dziękuję panu.

— Nie ma za co. Proszę mnie uprzedzić, o której będzie pogrzeb.

Rzadko kiedy widział oczy tak surowe jak te, które teraz na niego patrzyły. Marcel zachował obojętną minę.

— Powodzenia, panie Maigret — życzył mu z ironią.

Maigret i Lapointe wyszli, na rogu ulicy komisarz wszedł do baru.

— Przez tych dwoje pić mi się zachciało. Piwo proszę. Co zamawiasz?

— To samo.

— Dwa piwa.

Maigret wycierał czoło chusteczką.

— Oto jak spędzamy czas, podczas gdy starsza, szarooka pani umiera gwałtowną śmiercią. Chodzimy do ludzi i zadajemy im mniej lub bardziej idiotyczne pytania. Tych dwoje musi teraz kpić sobie z nas.

Lapointe nie śmiał nic powiedzieć. Nie lubił oglądać swego szefa w takim humorze.

— Weź pod uwagę, że to się zdarza niemal w każdym śledztwie. Jest taka chwila, kiedy maszyna kręci się w próżni i nie wiadomo, w którą iść stronę. Potem coś się wydarza, często jakiś drobiazg, do którego początkowo nie przywiązuje się znaczenia..

— Zdrowie, szefie:

— Twoje!

O tej porannej jeszcze godzinie na ulicy było wesoło, gospodynie biegały od sklepiku do sklepiku. W pobliżu znajdował się targ Buci, który Maigret szczególnie lubił.

— Chodź.

— Gdzie idziemy?

— Wracamy. Zobaczymy, czy Lucas i Janvier mieli więcej szczęścia.

Janvier już czekał, Lucasa jeszcze nie było.

— Poszło łatwo, szefie. Jego następcą jeszcze tam pracuje i znał go bardzo dobrze, kiedy sam zaczynał.

— Opowiadaj.

— Niczego specjalnego się nie dowiedziałem, chyba tylko tyle, że za plecami nazywano go Jego Wysokość Caramé pięknie się ubierał i przywiązywał wielkie znaczenie do stroju. Dumny był ze swego stanowiska i spodziewał się, że dostanie Legię Honorową, co mu obiecano. Korzystał z każdej okazji, by włożyć ciemne ubranie; dobrze w nim wyglądał. Jego brat był pułkownikiem.

— Żyje jeszcze?

— Zginął w Indochinach. Chętnie o nim opowiadał. Mówił: „Mój brat pułkownik...”

— To wszystko?

— Wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć. Nikt nic nie wie o jakichś jego wadach. Martwił się, że nie może mieć dzieci. Stary woźny opowiadał mi historię, nie gwarantując jej autentyczności... Po trzech czy czterech latach małżeństwa Caramé posłał żonę do ginekologa, który zażyczył sobie zobaczyć męża. Inaczej mówiąc, to nie ona nie mogła mieć dzieci, lecz on. Od tego czasu nie mówił więcej o progeniturze.

Maigret, nadal zasępiony, chodził po pokoju zatrzymując się co pewien czas przed oknem, jakby chciał wziąć Sekwanę na świadka brzydkiego kawału, jaki mu zgotowano.

Ktoś zapukał do drzwi. Był to Lucas, wbiegł susami po schodach i był zdyszany.

— Odsapnij.

— Znalazłem gościa, który był bezpośrednim podwładnym Antoine’a. Ma teraz sześćdziesiąt lat i jest kierownikiem działu.

— Co opowiada?

— Podobno Antoine był swego rodzaju maniakiem. W dobrym znaczeniu tego słowa. To znaczy miał swego konika. Kiedy pytano go o zawód, odpowiadał: wynalazca. I rzeczywiście dostał patent za udoskonalony klucz do konserw, który sprzedał fabryce artykułów gospodarstwa domowego. Zrobił też inne wynalazki...

— Przyrząd do obierania kartofli.

— Skąd pan wie?

— Widziałem na quai de la Mégisserie.

— Ciągle chciał coś udoskonalać. Podobno miał w domu warsztat, gdzie spędzał każdą wolną chwilę.

— Też go widziałem. Nie zrobił żadnego poważniejszego wynalazku?

— Gość, z którym rozmawiałem, nic o tym nie wie, ale podobno mówił czasem, kiwając chytrze głową: „Kiedyś zrobię prawdziwe odkrycie i wszyscy będą o mnie mówić”.

— Nic dokładniejszego?

— Nie. Poza tą manią był człowiekiem raczej małomównym, ale sumiennie wykonującym swój zawód. Nie pił. Wieczorami nie wychodził. Wydawał się zadowolony z żony.—Mówię zadowolony, a nie: zakochany, ze względu na wiek ich obojga. Rozumieli się dobrze, szanowali się nawzajem. Mój rozmówca był dwa razy na kolacji na quai de la Mégisserie i uważał, że przyjemnie się urządzili. „Uroczą kobietą — powiedział mi. — I taka dystygowana! Jedyne, co trochę przeszkadza, to że kiedy coś opowiada, nie wiadomo, czy chodzi o pierwszego, czy o drugiego męża. Wydawać by się mogło, że ich myli”.

— To wszystko?

— Wszystko, szefie.

— Jedna sprawa jest pewna: to, że niedawno w szafce nocnej był rewolwer i że ten rewolwer znikł. Mam ochotę wpaść na bulwar Batignolles. Idziesz ze mną, Lapointe? Weź samochód. Byle nie z defektem silnika.

Przed wyjściem z biura wybrał świeżą fajkę.

ROZDZIAŁ IV

Nad wejściem do hoteliku marmurowa tabliczka głosiła: „Pokoje umeblowane. Wynajmuje się na dni, tygodnia, miesiące. Wszelkie wygody”.

Większość lokatorów wynajmowała pokoje na dłużej, płacąc co miesiąc, wygody zaś polegały na tym, że w każdym pokoju była umywalka, a jedna łazienka przypadała na dwa piętra.

Na prawo od wejścia znajdowała się szafka z przegródkami, w których wisały klucze.

— Długi Marcel jest u siebie?

— Pan Marcel? Właśnie przyszedł. Jego samochód stoi przed domem.

Był to sportowy wóz w jaskrawym, czerwonym kolorze, model sprzed wielu lat. Niemniej dwóch chłopców oglądało go z zazdrością, dyskutując, jaką szybkość może osiągnąć.

— Mieszka tu od dawna?

— Ponad rok. To niekłopotliwy lokator.

— Rzadko sypia u siebie, o ile się nie mylę.

— Wraca przeważnie nad ranem, bo pracuje w nocy. Jest barmanem w kabarecie.

— Sprowadza dziewczyny?

— Rzadko. A mnie to nie obchodzi.

Właściciel był gruby, miał dwa czy trzy nie ogolone podbródki, na nogach stare, zdeптane kapcie.

— Które piętro?

— Drugie. Pokój 23. Mam nadzieję, że nie ściągnie pan na nas kłopotów. Nie lubię, kiedy policja przychodzi do domu.

— Pan jest chyba w porządku?

— Z wami nigdy nic nie wiadomo.

Maigret wszedł na górę, za nim Lapointe. Przy schodach wisiał napis: „Proszę wycierać obuwie”. Ręcznie dopisano: „Zabrania się gotować w pokojach”.

Maigret znał się na tym. Nie przeszkadzało to lokatorom trzymać u siebie spirytusowej kuchenki, na której odgrzewali gotowe dania kupowane w najbliższej garmażerii.

Zapukał do numeru 23, usłyszał kroki i drzwi otworzyły się gwałtownie.

— No proszę! — zdumiał się Marcel. — Już pan tu jest!

— Spodziewał się pan naszej wizyty?

— Kiedy policja zaczyna wtykać gdzieś swój nos, można być pewnym, że się ją jeszcze zobaczy.

— Przygotowuje się pan do przeprowadzki?

Jedna walizka stała na łóżku, druga na podłodze. Eks-barman wrzucał do niej ubrania i bieliznę.

— Tak. Zwijam manatki. Mam tego dość.

— Czego?

— Tej baby, która powinna zostać żandarmem.

— Pokłóciliście się?

— Trochę. Nawymyślała mi, że byłem jeszcze w łóżku, kiedy przyszlście. Nie jestem masażystą i nie muszę chodzić obmacywać ludzi po domach.

— To nie wyjaśnia, dlaczego zmienia pan hotel.

— Nie tylko zmieniam hotel. Zwijam manatki i jadę do Tulu. Tam mam prawdziwych kumpli, którzy z miejsca znajdą mi pracę.

W jednej z walizek Maigret dostrzegł garnitur, który przedtem widział w szafie na ulicy Saint-Andre-des-Arts. Drugi garnitur Marcel miał na sobie. Nazywał się Montrond, ale nikt nigdy tak do niego nie mówił, dla dozorczyńi też był panem Marcelem.

— Ten czerwony samochód przed wejściem należy do pana?
— Niewiele jest wart. Ma prawie dziesięć lat, ale jeszcze nieźle ciągnie.
— Wyjeżdża pan oczywiście samochodem?
— Tak. Chyba ze uprze się pan, żeby mi przeszkodzić.
— Dlaczego miałbym panu przeszkodzić?
— Albo z glinami co wiadomo?
— Jedno pytanie: czy był pan kiedyś w mieszkaniu na quai de la Mégisserie?
— Po co miałbym tam chodzić? Złożyć wyrazy uszanowania starej? „Dzień dobry, droga pani. Jestem kochankiem pani siostrzenicy. Ponieważ mam trudną sytuację, ona mnie utrzymuje, bo zawsze potrzebuje mężczyzny. To straszna dziwka i nie należy jej niczego obiecywać”.

W dalszym ciągu pakował się sprawdzając, czy czego nie zapomniał w szufladach. Z jednej wyjął aparat fotograficzny. Miał również adapter.

— Gotowe! Teraz czekam tylko, aż panowie wyjdą, i odjeżdżam.
— Pod jakim adresem można pana znaleźć w Tulonie?
— Wystarczy napisać do mnie na adres baru „Admirał”, quai de Stalingrad. Na nazwisko Boba, barmana, to stary kumpel. Sądzi pan, że będzie mnie pan jeszcze potrzebował?
— Nigdy nic nie wiadomo.

Zanim Marcel zamknął walizki, Maigret zajrzał do nich, ale nie znalazł nic kompromitującego.

— Ile pan z niej wyciągnął?
— Z żandarma? Pięćset franków. I to w zamian za obietnicę, że wkrótce wrócę. Nigdy nie wiadomo, czego ona chce. Raz traktuje mnie jak powietrze i wyrzuca za drzwi. Parę minut później zaczyna się mazać i mówi, że nie może żyć beze mnie.

— Dobrej drogi życzę — westchnął Maigret kierując się do drzwi.

Przechodząc koło recepcji powiedział do właściciela:

— Wydaje mi się, że traci pan klienta.
— Uprzedził mnie. Wyjeżdża na południe na parę tygodni.
— Zatrzymuje pokój?
— Nie, ale znajdziemy mu inny.

Maigret i Lapointe wrócili do biura. Komisarz zadzwonił do Tulonu.

— Chciałbym mówić z komisarzem Marella. Tu Maigret z Policji Śledczej.
Od razu rozpoznał głos kolegi. Rozpoczynali pracę niemal równocześnie i teraz Marella był szefem policji śledczej w Tulonie.

— Jak się masz?
— Nie narzekam.
— Znasz bar „Admirał”?
— Jeszcze jak! Cała żulia się tam zbiera.
— A niejakiego Boba?
— To barman. Jest ich skrzynką pocztową.
— Dziś wieczór albo jutro zjawi się tam niejaki Marcel Montrond. Zapewne uda się prosto do „Admirała”. Chciałbym, żebyś go miał na oku.

— O co go podejrzewasz?
— O wszystko i o nic. Jest mniej lub bardziej zamieszany w sprawę, która mnie dręczy.
— Staruszka z quai de la Mégisserie?
— Tak.

— Dziwna sprawa, nie? Wiem tylko to, co podają dzienniki i radio, ale wygląda mi to diabelnie tajemniczo. Znalazłeś chłopaka z gitarą?

— Tak. Nie wydaje się, by miał coś z tym wspólnego. I nie ma żadnych wyraźnych powodów, dla których trzeba było sprzątnąć starszą panią...

- Będę z tobą w kontakcie. Czy Marcel, o którym mówisz, to aby nie Długi Marcel?
- Tak.
- Dorabia sobie trochę naciągając babki, nie? Często przyjeżdżał na Wybrzeże i za każdym razem znajdował sobie jakąś damulkę.
- Dziękuję ci. Do szybkiego. Niemal natychmiast zadzwonił telefon.
- Komisarz Maigret?
- Tak
- Tutaj Angela Louette. Przede wszystkim chciałam panu powiedzieć, że wyrzuciłam tego włóczkę za drzwi.
- Wiem. Jest w drodze do Tulonu.
- Niech mi pan wierzy, że to nie w moim stylu i nie dam się już na to nabrać.
- Co mu pani zarzuca?
- To, że żyje z kobiet i że przez pół dnia wyleguje się w łóżku, które nawet nie jest jego. Nie chciał się wynieść. Musiałam mu dać pieniądze, żeby sobie poszedł.
- Wiem.
- Chwalił się tym?
- Oczywiście. Nazywa panią żandarmem, nawiasem mówiąc.
- Chciałam również pana zawiadomić, że pogrzeb odbędzie się jutro rano. Ciało przewiozą dzisiaj na quai de la Mégisserie. Nie będzie czuwania przy zwłokach, bo ciotka nikogo nie znała. Pogrzeb o dziesiątej.
- Czy będzie msza?
- Tak, w Notre–Dame–des–Blancs–Manteaux. Nic pan jeszcze nie odkrył?
- Nie.
- Ma pan adres mego syna?
- Dał mi go.
- Chciałabym go uprzedzić. Może mimo wszystko zechce wziąć udział w pogrzebie swojej ciotecznej babki.
- Mieszka w Hôtel des Iles et du Bon Pasteur na ulicy Mouffetard.
- Dziękuję panu.
- Maigret znalazł niecierpliwość sędziów śledczych, toteż wkrótce potem wszedł przez drzwi wewnętrzne do części gmachu, gdzie mieściły się sądy.
- Na korytarzu, po którego obu stronach znajdowały się pokoje urzędników sądowych, niemal wszystkie ławki były zajęte przez petentów, świadków i oskarżonych. Niektórzy z kajdankami na rękach czekali w asyście policjantów.
- Sędzia Libart był sam ze swoim sekretarzem.
- A więc, panie komisarzu? Jak przebiega śledztwo? Mówił niemal radośnie, zacierając rękę.
- Chciałem dać panu popracować w spokoju. Doszedł pan chociaż do jakichś rezultatów?
- Żadnych.
- Nie ma podejrzanych?
- Tak naprawdę podejrzanych — nie. I ani jednej poszlaki poza tą, że starsza pani zaskoczyła mordercę w momencie, kiedy czegoś szukał.
- Pieniądzy?
- Nie sądzę.
- Bizuterii?
- Z tego, co miała, wiele by nie wyciągnął.
- Maniak?
- Nie sądzę. Dlaczego maniak wybrałby właśnie jej mieszkanie? I dlaczego chodziłby tam wielokrotnie, zanim popełnił zbrodnię?
- Jakaś historia rodzinna? Spadkobierca, któremu bardzo się śpieszyło?

— Możliwe, ale nie całkiem prawdopodobne. Jediną spadkobierczynią jest siostrzenica. Jest masażystką i bardzo dobrze zarabia.

— Wydaje się pan zniechęcony. Maigret silił się na uśmiech.

— Proszę mi wybaczyć. To zła passa. Pogrzeb odbędzie się jutro.

— Pójdzie pan?

— Tak. To mój stary zwyczaj, niejednokrotnie naprowadził mnie na trop.

Wrócił do domu na obiad; pani Maigret, widząc jego chmurną twarz, nie zadawała mu żadnych pytań. Chodziła niemal na palcach i przygotowała pieczeń ze szczawiem, jedną z ulubionych potraw Maigreta.

Kiedy z powrotem znalazł się na Quai des Orfèvres, Lapointe zapukał do drzwi gabinetu.

— Proszę wejść.

— Przepraszam, szefie. Co mam robić?

— Nic. Co chcesz. Jeśli masz jakiś pomysł...

— Mam ochotę pójść jeszcze raz do handlarza ptaków. Widzi ludzi wchodzących i wychodzących z domu. Moje pytania może mu coś przypomną?

— Jak chcesz?

Nie znosił stanu, w jakim był obecnie: pozbawiony energii i wyobraźni. Te same myśli powracały natrętnie, ale donikąd nie prowadziły.

Przede wszystkim starsza pani nie była wariatką. Dlaczego krążyła po Quai des Orfèvres, zanim odważyła się zwrócić do policji? Czy kogoś podejrzewała?

Zdawała sobie sprawę, że nikt by się nie przejął historią zmieniających miejsce przedmiotów.

A jednak była to prawda. Rzeczywiście wielokrotnie przeszukano jej mieszkanie.

Szukając... czego?

Nie pieniędzy, jak powiedział sędziemu śledczemu. A także nie biżuterii.

Było to jednak coś ważnego, skoro tajemniczy gość, przyłapany na gorącym uczynku, zamordował starszą panią.

Czy znalazł w końcu to, czego szukał? Czy wychodził ze zdobyczą w chwili, gdy niespodziewanie wcześniej wróciła?

Co tak cennego mogła posiadać skromnie żyjąca wdowa po dwóch mężach, że aż warto było odebrać jej życie?

Gryzmolił coś na kartce papieru i nagle spostrzegł, że rysunek przypomina starszą panią.

Okolo piątej nie mógł już wytrzymać w biurze i poszedł na quai de la Mégisserie. Zabrał z sobą znaną w kartotece fotografię Długiego Marcela.

Zdjęcie było nieudane, rysy nie dość wyraźne, ale można go było rozpoznać. Zaczął od dozorczyńni.

— Czy widziała pani kiedyś tego człowieka?

Musiała wziąć okulary leżące na kredensie.

— Nie wiem, co panu odpowiedzieć. Wydaje mi się, że znam skądś tę twarz. Ale ludzie są tak do siebie podobni.

— Niech się pani dobrze przyjrzy. Mogła go pani widzieć niedawno.

— Ten garnitur w kratkę mnie zastanawia. Widziałam taki tydzień czy dwa tygodnie temu, ale nie umiem panu powiedzieć gdzie.

— Tutaj, w pani mieszkaniu?

— Chyba nie.

— Na podwórku? Na schodach?

— Naprawdę nie wiem. Pański inspektor znowu przyszedł tu zadawać pytania. Przecież nic nie wymyślę. Wie pan, że ją przywieźli?

— Panią Antoine?

— Tak. Jej siostrzenica jest na górze. Zostawiła otwarte drzwi i zapaliła świece po obu stronach łóżka. Niektórzy lokatorzy wchodzą nieśmiało i odmawiają modlitwę. Gdyby ktoś mógł mnie zastąpić, poszłabym jutro na pogrzeb, ale jestem sama. Mój mąż od trzech lat jest w szpitalu psychiatrycznym.

Maigret znalazł się na chodniku, przed klatkami z ptactwem. Caille-junior rozpoznał go od razu.

— No proszę! Dopiero co był tu inspektor, ten młody.

— Wiem. Czy mógłby pan przyjrzeć się uważnie tej fotografii?

Przyjrzał jej się z bliska, potem z pewnej odległości; potrząsnął głową.

— Nie mogę powiedzieć, że go poznaję. Jednak coś mi tu kogoś przypomina.

— Garnitur?

— Raczej nie. Wyraz twarzy. Wygląda, jakby drwił sobie z ludzi.

— To nie jeden z pańskich klientów?

— Na pewno nie.

— Może spyta pan ojca?

— Dobrze. Ale on bardzo źle widzi.

Wrócił potrząsając przecząco głową.

— Nie poznaje go. Musi pan wiedzieć, że niemal cały czas spędza w sklepie i interesuje się wyłącznie ptakami i rybami. Tak je kocha, że niewiele brakuje, aby przestał je sprzedawać.

Maigret wszedł znów na pierwsze piętro. Kobieta mieszkająca naprzeciwko staruszki wychodziła właśnie z siatką na zakupy.

— Jest tam — szepnęła wskazując uchylone drzwi.

— Wiem.

— Jutro pogrzeb. Podobno jej pierwszy mąż miał kwaterę na cmentarzu Montparnasse i prosiła, żeby ją pochowano obok niego.

— Komu to mówiła?

— Pewnie swojej siostrzenicy, nie? I dozorczyńni. Mówiła, że Ivry jest za daleko, że będzie się czuła zagubiona wśród tysięcy grobów.

— Chciałbym coś pani pokazać. Mogę wejść na chwilę?

Mieszkanie było posprzątane, ciemniejsze od mieszkania starszej pani, ponieważ drzewo zasłaniało okna.

— Czy spotkała pani kiedyś tego człowieka?

Wyjął zdjęcie znalezione w kartotece.

— To ktoś, kogo znam?

— Nie wiem, pytam panią.

— Widzieć, to go widziałam. Niedawno. Palił papierosa. Zastanawiałam się nawet, czego tu brakuje... tak, papierosa.

— Niech się pani namyśli. Proszę się nie śpieszyć.

— Nie w sklepie... Nie na podwórku... Widać było, że wyteża pamięć.

— Przypuszczam, że to ważne?

— Tak.

— W związku z panią Antoine?

— Prawdopodobnie.

— Moje świadectwo może mu zaszkodzić, prawda?

— Bardzo możliwe.

— Rozumie pan, dlaczego nie śmiem nic twierdzić kategorycznie. Nie chciałabym ściągnąć kłopotów na niewinnego.

— Jeżeli jest niewinny, będziemy o tym wiedzieli.

— Nie zawsze. Zdarzają się omyłki sądowe. Trudno! Wychodziłam...

— Kiedy?

— Nie pamiętam. W zeszłym tygodniu. Szłam z córką do szkoły.

W sąsiednim pokoju dwunastoletnia dziewczynka odrabiała lekcje.

— Było więc koło czwartej?

— Albo w południe. To właśnie usiłuję sobie przypomnieć. Raczej koło czwartej, bo miałam siatkę, a o tej porze robię zakupy na kolację. Mąż nie wraca na obiad i razem z córką jemy tylko coś lekkiego. Schodziłam ze schodów nie patrząc przed siebie i ktoś wpadł na mnie. Wbiegał susami po stopniach. O mało mnie nie przewrócił. Dlatego go zapamiętałam. Obejrzał się i spytał, czy nic mi się nie stało. Powiedziałam, że nie, że nie szkodzi.

— Nie wie pani, na którym piętrze się zatrzymał?

— Nie. Spieszyłam się. Córka nie lubi czekać na mnie przed szkołą, a przy tym ruchu nie chcę, żeby sama wracała do domu.

Maigret odetchnęła. Wreszcie jakaś nadzieja!

Parę minut później pchnął drzwi, do pokoju zmarłej i spojrzał na delikatne rysy starej kobiety, którą wzięto za wariatkę.

Zapłony były zaciągnięte, w pokoju panował mrok, drżała tylko jedna plama słońca. Dwie zapalone po obu stronach łóżka świece nadawały wnętrzu niezwykle wygląd.

Angela Louette, nieruchoma i milcząca, siedziała w fotelu i przez chwilę Maigret myślał, że śpi. Gdy spojrzał na nią po raz drugi, spostrzegł, że utkwiała w nim swe ciemne oczy.

Skłonił się przed zmarłą i przeszedł do salonu, gdzie z ulgą odnalazłienne światło. Angela weszła za nim, jak się tego spodziewał.

Twarz miała bardziej surową niż zwykle.

— Po co pan tu przyszedł?

— Po raz ostatni złożyć wyrazy szacunku pani ciotce.

— Niech pan przyzna, że o to najmniej się pan troszczy. Tak samo lokatorzy. Tylko dwóch tu zajrzało. Widział pan tego drania „Marcela”?

— Pojechał samochodem do Tulonu.

Zauważył, że ta wiadomość nią wstrząsnęła.

— Chwała Bogu! Z trudem udało mi się go wyrzucić. Czy wie pan, że byłam zmuszona dać mu pięćset franków, żeby wyniósł się z mieszkania?

— Może go pani zaskarżyć o wymuszenie pieniędzy.

— Może tak zrobię. W każdym razie, jeśli spróbuje wrócić...

— Czy wie pani, że był tu w zeszłym tygodniu?

Gwałtownie wzdrygnęła się, zmarszczyła brwi.

— Wie pan kiedy?

— Nie.

— O której?

— Około czwartej.

— On panu o tym powiedział?

— Nie.

— Pytał go pan o to?

— Dziś rano nic jeszcze nie wiedziałem. Skąd znał adres pani ciotki?

— Któregoś dnia, z miesiąc temu, szliśmy razem przez Pont-Neuf. Machinalnie pokazałam mu z daleka okna mieszkania i powiedziałam: „Mam starą ciotkę, która tam mieszka”.

— Myślę, że dodała pani, że kiedyś odziedziczy pani po niej duże pieniądze.

— Poznaję jego kłamstwa. Powiedziałam tylko, że miała dwóch mężów i że ma życie zabezpieczone. Gdzie on jest?

— O ile nie zmienił planów, jest w tej chwili w drodze do Tulonu.

— Ciągle mi opowiadał o Tulonie i o swoich tamtejszych przyjaciółach.

— Nie wie pani, z jakiej pochodzi rodziny?

— Nie.

— Nigdy nie opowiadał pani o swej młodości?

— Nie. Wiem tylko, że żyje jeszcze jego matka, mieszka w jakimś miasteczku w środkowej Francji.

— Jest pani pewna, że nie była tu pani w ciągu ostatnich ośmiu dni, powiedzmy, ostatnich dwóch tygodni?

— Znowu pan zaczyna?

— Proszę się zastanowić, zanim pani odpowie.

— Jestem pewna.

— Czy wie pani, co jest w szufladzie szafki nocnej?

— Nie otwierałam jej.

— Nawet dzisiaj rano, porządkując pokój zmarłej?

— Nawet dzisiaj.

— Czy wie pani, że ciotka posiadała broń?

— Niemożliwe! Nie potrafiłaby nawet utrzymać rewolweru w ręku.

— Nie bała się mieszkać sama?

— Nie bała się niczego i nikogo.

— Czy zdarzyło jej się mówić z panią o wynalazkach swego drugiego męża?

— Pokazała mi kiedyś przyrząd do obierania kartofli. Obiecała mi go, ale nigdy nie dała. To było jeszcze za życia wuja Antoine. Pokazała mi też jego warsztat, jeśli tak można nazwać komórkę, w której ledwie się można obrócić.

— Dziękuję pani.

— Przyjdzie pan na pogrzeb?

— Prawdopodobnie.

— Wyprowadzenie będzie za kwadrans dziesiąta. O dziesiątej powinniśmy być w kościele.

— Do jutra.

Były chwile, kiedy jej niemal męska oschłość nie była antypatyczna i nawet mogła uchodzić za szczerą. Nie była piękna. Nigdy nie była ładna. Z wiekiem utyla.

Dlaczego nie miałyby domagać się tych samych praw co mężczyźni, którzy w jej wieku i sytuacji pozwalali sobie na przygody?

Nie kryła się z tym. Przyjmowała u siebie kochanków na jedną noc czy na tydzień. Dozorczynie widziały, jak przychodzili i odchodzili. Inni lokatorzy też się chyba zorientowali.

Z drugiej zaś strony była nieufna i spoglądała na rozmówcę, jakby się spodziewała pułapki.

W drodze powrotnej na Quai des Orfèvres Maigret zatrzymał się w piwiarni „Dauphine” na kieliszek białego wina. Nie miał ochoty na piwo. Białe, niemal musujące w kieliszku wino bardziej pasowało do wiosennej pogody.

Było pusto. Poza dostawcą w niebieskim fartuchu w piwiarni nie było nikogo.

— Jeszcze jeden — zamówił.

Doktor Pardon nie dowie się o tym; zresztą zalecał mu tylko umiar.

Na Quai des Orfèvres zastał Lapointe’a, który raz jeszcze obszedł lokatorów domu pokazując fotografię Marcela.

— Rezultat?

— Żadnego.

— Jutro rano zawieziesz mnie na pogrzeb.

Wrócił do domu piechotą, nieprzyjemne myśli krążyły mu po głowie.

— Jedyna rzecz, której jesteście pewni, to ta, że znikł rewolwer.

Czy byli tego tak bardzo pewni? Znaleźli ślady smaru do broni w szufladzie, Ale czy ten smar nie pochodził skądinąd?

Eksperti od Moersa twierdzili, że plama powstała najdalej miesiąc temu.

Maigret także stawał się nieufny wobec wszystkiego i chciałby zacząć śledztwo od zera, byle tylko mieć jakiś, bodaj słaby punkt oparcia.

— Już jesteś!

Nie otworzyła mu drzwi, tym razem posłużył się własnym kluczem.

— Wieczorem znów pewnie wyjdę.

— Dokąd?

— Tam, gdzie wolę cię z sobą nie zabierać: do małego bistro hippisów na placu Maubert.

Przed kolacją zdążył przeczytać gazetę i wziąć prysznic. I tym razem jedli przy otwartym oknie.

— Idę jutro na pogrzeb.

— Spodziewasz się, że ktoś przyjdzie?

— Prócz jej siostrzenicy i mnie chyba nikogo nie będzie. Do mieszkania przyszło tylko dwóch lokatorów, żeby pożegnać zmarłą.

— A dziennikarze?

— Sprawa nie zainteresowała czytelników. Teraz jedynie podają kilka linijek na trzeciej stronie.

Włączył telewizję. Musiał czekać do dziesiątej wieczór, jeśli chciał znaleźć małego Billy Louette w „Bongo”.

Na rogu bulwaru Voltaire złapał taksówkę i kiedy podał adres, kierowca spojrzął na niego zaskoczony, dziwiąc się, że mieszczuchowi z tej dzielnicy zachciało się pohulać w takim miejscu!

Właściciel poskąpił widocznie wydatków na wystrój wnętrza. Białe malowane ściany pokryte były mnóstwem kolorowych, nic nie znaczących linii.

Stanowiło to jedyną oryginalną cechę tej restauracji. Bar był klasyczny, z cynkową ladą; właściciel, w koszuli i niebieskim fartuchu, sam obsługiwał. Drzwi prowadziły do zadymionej kuchni, skąd dochodził swąd przypalonego tłuszczu.

Kilka par siedziało przy stolikach; jedli przeważnie spaghetti, które, jak się wydawało, było specjalnością zakładu.

Niewielu młodych w dzinsach i wzorzystych koszulach. Reszta to ci, którzy przyszli na nich popatrzeć.

Popatrzeć, a przede wszystkim posłuchać, bo trzech muzyków robiło tyle hałasu co cała orkiestra. Billy grał na gitarze. Dwaj inni na perkusji i kontrabasie.

Wszyscy trzej długowłosi muzycy mieli na sobie czarne aksamitne spodnie i różowe koszule.

— Zje pan kolację?

Właściciel musiał niemal krzyczeć, żeby go usłyszano.

Maigret potrząsnął przecząco głową i zamówił białe wino. Billy zauważył go i nie okazał najmniejszego zdziwienia.

Komisarz ani trochę nie znał się na muzyce pop, ale to, co słyszał, nie wydawało mu się gorsze od tego, co nadawano czasem w radio czy w telewizji. Trzej chłopcy grali z zapalem, wpadając nawet w swego rodzaju ekstazę.

Oklaskiwano ich gorąco. Nastąpiła przerwa. Billy podszedł do siedzącego przy barze Maigreta.

— Zdaje się, że przyszedł pan, żeby się ze mną zobaczyć.

— Oczywiście. Miał pan jakieś wiadomości od matki?

— Dzisiaj nie.

— W takim razie nie wie pan, że pogrzeb jest jutro rano? Spotkanie na quai de la Mégisserie o dziewiątej czterdzieści pięć. Msza odbędzie się w Notre-Dame-des-Blancs-Manteaux. Pogrzeb na cmentarzu Montparnasse.

— Wydawało mi się, że dziadek Antoine jest pochowany w Ivry.

— Zgadza się, ale wdowa wolała grób swego pierwszego męża.
— Za kilka minut znowu zaczniemy grać. Podoba się to panu?
— Niestety, zupełnie się na tym nie znam. Chciałbym zadać panu jedno pytanie. Czy wiedział pan, że babka miała rewolwer?

— Tak.

Nareszcie ktoś odpowiedział zwyczajnie i spokojnie.

— Ona panu o tym powiedziała?

— Już dość dawno temu, rok czy dwa. Byłem wtedy bez grosza. Poszedłem wyciągnąć coś od niej i zauważyłem, że w szufladzie komody leży kilka stufrankowych banknotów. Dla niektórych kilkaset franków nic nie znaczy. Ale dla innych, sam do nich należę, to majątek. Spytałem ją całkiem po prostu, czy się nie boi. „Kogo? Ciebie? — Nie. Ale mieszkasz sama. Ludzie o tym wiedzą. Włamywacz mógłby...”

Dał znak kolegom, że zaraz się do nich przyłączy.

— Powiedziała, że jest uzbrojona przeciwko włamywaczom, i otworzyła szufladę szafki nocnej. „I nie wyobrażaj sobie, że się zawaham przed jego użyciem”.

A więc była tam nie tylko tłusta plama. Ktoś widział broń.

— To był rewolwer czy pistolet?

— Jaka jest między nimi różnica?

— Rewolwer ma bębenek. Pistolet jest płaski.

— O ile sobie przypominam, to był rewolwer.

— Jakiego kalibru?

— Nie wiem. Rzuciłem tylko okiem. Mniej więcej wielkości dłoni.

— Komu pan o tym mówił?

— Nikomu.

— Nic nie powiedział pan matce?

— Nie jesteśmy aż tak zaprzyjaźnieni, żebym jej cokolwiek opowiadał.

Chłopak powrócił do swoich przyjaciół i znowu zaczęli grać. Można było wyczuć, że pochłania go rytm, jaki sam tworzy, podkreślony jeszcze przez perkusję.

— To dobry chłopak — powiedział właściciel nachylając się nad barem. — Zresztą wszyscy trzej są fajni i żaden się nie narkotyzuje. Nie mogę tego powiedzieć o wszystkich klientach.

Maigret zapłacił za wino i wyszedł na ulicę. Z trudem znalazł taksówkę i kazał zawieźć się do domu.

Nazajutrz rano poszedł od razu na piętro zajmowane przez sędziów śledczych i wszedł do sędziego Libart.

— Chcę, żeby mi pan wydał nakaz rewizji. Na nazwisko Angela Louette, panna, zawód masażystka, zamieszkała przy ulicy Saint–Andre–des–Arts.

Sekretarz notował.

— Czy to znaczy, że zbliża się pan do końca?

— Nie mam pojęcia. Przyznaję, że działałem trochę na ślepo.

— Czy to nie siostrzenica starszej pani?

— Zgadza się.

— A jednocześnie jej spadkobierczyni? W takim razie to wydaje się dziwne.

Maigret spodziewał się takiej reakcji; każdemu by to przyszło na myśl: Angela Louette była pewna, że prędzej czy później dostanie spadek, i to raczej niezadługo, zważywszy wiek ciotki. Dlaczego narażałaby się na spędzenie reszty swoich dni w więzieniu, po to, by przywłaszczyć sobie pieniądze, które i tak by jej przypadły?

— A zresztą! Niech pan robi, co pan uważa. Życzę powodzenia.

Za piętnaście dziesiąta Maigret znalazł się na quai de la Mégisserie w towarzystwie Lapointe'a, prowadzącego mały czarny samochód. Nie było krepy na drzwiach, nie było ludzi, ani jednego gapia.

Karawan zatrzymał się przy chodniku i dwóch osiłeków poszło po trumnę. Nie było kwiatów ani wieńców. W kilku oknach poruszyły się zasłony. Dozorczyńni wyszła na próg i przeżegnała się.

Stary handlarz ptakami porzucił na chwilę mrok swego sklepika i przyłączył się do stojącego na ulicy syna.

To było wszystko.

Angela Louette sama wsiadła do czarnego samochodu, przysłanego przez zakład pogrzebowy. W kościele nie było nikogo prócz dwóch kobiet czekających przed konfesjonalem. Wydawać by się mogło, że wszystkim się śpieszy — i księdzu, i ludziom z zakładu pogrzebowego.

Maigret został w głębi kościoła i Lapointe przyłączył się do niego, gdy tylko udało mu się zaparkować wóz.

— To nawet nie jest smutne — zauważył młody inspektor.

Była to prawda. Słońce zalewało nawę. Nie zamknięto drzwi i z ulicy dochodziły różne odgłosy.

— *Et ne nos inducat in tentationem...*

— *Amen...*

Zabrano trumnę, która z pewnością nie ważyła dużo. Niespełna kwadrans później weszli na cmentarz Montparnasse i w jednej z alei zatrzymali się przed płytą z różowego marmuru.

— Mówiłam panu, że nikogo nie będzie — szepnęła masażystka, kiedy spuszczano trumnę do grobu.

Dodała:

— Nie było dość czasu, żeby wyryć jej imię obok nazwiska pierwszego męża. Kamieniarze zrobią to w przyszłym tygodniu.

Ubrana była na czarno, skromnie, co nadawało jej jeszcze surowszy wygląd — guwernantki albo dyrektorki szkoły

— Teraz — wyszeptał Maigret — pojedziemy do pani.

— My?

— Tak, my.

— Czego pan jeszcze ode mnie chce?

Cmentarz nie wywierał przygnębiającego wrażenia, przeciwnie — wypełniony był śpiewem ptaków i zalany słońcem igrającym w zieleni drzew.

— Chwileczkę Muszę rozdać napiwki. Nie zatrzymywać wozu?

— Mamy dla pani miejsce.

Spotkali się przy bramie, Angela usiadła z tyłu, a Maigret na zwykłym miejscu obok Lapointe'a.

— Ulica Saint-Andre-des-Arts.

Siostrzenica starszej pani powiedziała z goryczą:

— Spodziewałam się, że ludzie będą plotkować. Zawsze znajdują się tacy, co obgadują człowieka za plecami, a jak nie mają powodów, to coś sobie wymyślają. Ale żeby Policja Śledcza, żeby komisarz Maigret we własnej osobie zawziął się na mnie...

— Przykro mi, ale wykonuję tylko swój zawód.

— Dlaczego miałabym pójść po kryjomu do mojej ciotki?

— Dlaczego miałby, tam pójść ktoś inny?

— Sądzi pan, że jestem zdolna zabić starą kobietę?

— Nic nie sądzę. Szukam. Lapointe, wejdź do nas na górę, jak tylko zaparkujesz wóz.

W mieszkaniu zdjęła kapelusz i rękawiczki, potem żakiet od kostiumu, pod spodem miała białą bluzkę. Po raz pierwszy Maigret spostrzegł, że chociaż miała nieco męską postawę, to jednak była dosyć zgrabna i jak na swój wiek świetnie zakonserwowana.

— Niech mi pan wreszcie powie, czego pan chce.

Wyciągnął z kieszeni nakaz sędziego śledczego.

— Proszę to przeczytać.

— To znaczy, że będzie pan wszędzie szperał, że wszystko pan powywraca?

— Proszę się nie obawiać. Mamy wprawę. Czekałam właśnie na dwóch fachowców, którzy odłożą wszystkie rzeczy dokładnie na miejsce.

— Nie mogę się nadziwić...

— A właśnie, pani syna nie było na pogrzebie.

— Przyznam, że po tym wszystkim, co się wczoraj zdarzyło, zapomniałam go uprzedzić. Nie mam nawet jego dokładnego adresu. Wiem o nim tylko to, co pan mi powiedział.

— Pani go nie uprzedziła, ale ja to zrobiłem i dlatego dziwię się, że nie przyszedł. Wygląda »a porządnego chłopca.

— Tak, ale robi tylko to, co mu się podoba.

— I nie ma zamiaru zostać ortopedą.

— Mówił panu o tym?

— Jest o wiele bardziej bezpośredni niż pani i nie trzeba zadawać mu dziesięć razy tego samego pytania...

— Gdyby miał takie życie jak ja! Zrobi pan, co pan zechce, ale ja muszę się napić.

Nie piła wina, lecz whisky, którą wzięła ze stojącego w living-roomie barku mieszczącego pełny asortyment butelek.

— Napije się pan? Białego wina? Czerwonego?

— Na razie nie, dziękuję.

Policjanci z brygady śledczej przyszedli przed Lapointe'em, który Bóg wie gdzie szukał parkingu.

— No tak, moje dzieci. Przeczyszecie wszystko dokładnie. Wiecie, czego szukamy, ale obecność jakiegoś innego przedmiotu też nas może zainteresować. Proszę, żebyście odłożyli wszystko dokładnie na miejsce.

Zapaliła papierosa i usiadła w fotelu przy oknie, skąd widać było perspektywę dachów i kawałek wieży Eiffela.

— Zostaniesz tu z nimi — powiedział do Lapointe'a, który wreszcie nadszedł. — Muszę wyjść coś kupić.

Poszedł na ulicę Mouffetard. Po drodze wstał na kieliszek białego wina do bistro pełnego stałych bywalców; na ladzie leżały jaja na twardo.

ROZDZIAŁ V

Hotel był wysoki, wąski, wypełniony ostrym, przenikliwym zapachem. Maigret wszedł na czwarte piętro i zapukał do drzwi, które niechętnie mu wskazano.

Zaspany głos krzyknął:

— Proszę wejść!

Okiennice były zamknięte i w pokoju panował mrok.

— Domyśliłem się, że to pan.

Rudzielec podniósł się z łóżka, był nagi i owinał się ręcznikiem wokół bioder. Ciemnowłosa dziewczyna leżała odwrócona do ściany, widać było tylko jej włosy na poduszce.

— Która godzina?

— Pogrzeb skończył się już dawno.

— Dziwił się pan, że nie przyszedłem? Proszę zaczekać, aż wypłuczę usta. Chyba mam kaca.

Napełnił kubek wodą z kranu i przepłukał sobie usta.

— Szkoda, że pan nie został dłużej wczoraj wieczorem. Był fantastyczny nastrój. Przyszło trzech młodych Anglików, każdy z gitarą, improwizowaliśmy ponad dwie godziny. Była z nimi świetna dziewczyna. Widzi ją pan tutaj. Dziś rano nie miałem siły wstać i iść na pogrzeb starej. To może niezbyt grzecznie z mojej strony, ale nie mam ochoty oglądać matki. Czy znalazła forszę?

— Jaką forszę?

— Oszczędności babki. Musiała zebrać niemałą sumkę, prawie nic nie wydawała. Jej drugi mąż też odkładał pieniądze. Matka będzie wreszcie miała swój mały domek.

Otworzył okiennice i promień słońca wpadł do środka. Dziewczyna zakłęta, odwróciła się odsłaniając pierś.

— Pana matka zamierza kupić sobie dom?

— Domek na wsi, na soboty i niedziele, gdzie kiedyś będzie mogła przeprowadzić się na stałe. Marzy o tym od lat. Próbowwała pożyczyć na to pieniądze od starej, ale się nie udało. Przepraszam, ale niczym nie mogę pana poczęstować.

— Akurat przechodziłem.

— Jeszcze pan nie znalazł rewolweru?

— Nie. Marcel wyjechał.

— Niemożliwe! Matka musi być wściekła!

— To ona wyrzuciła go za drzwi. Wyjechał do Tulonu, ma tam kumpli.

— Będzie musiała sobie kogoś znaleźć. Trzech dni nie może wytrzymać bez chłopca. Im częściej zagląda do butelki, tym to się staje droższe i trudniejsze.

Był cyniczny, ale nie agresywny. Wyczuwało się w nim pewną łagodność, może była to tęsknota za życiem rodzinnym, którego nie zaznał.

A więc nadrabiał miną.

— Niech pan nie wyjeżdża z Paryża nie uprzedziwszy mnie. Daleko jeszcze do zakończenia śledztwa i może być pan potrzebny.

Młody człowiek ruchem brody wskazał łóżko:

— Widzi pan, że mam się czym zająć.

Maigret wrócił na ulicę Saint-Andre-des-Arts. Ludzie z brygady śledczej czekali na niego.

— Skończyliśmy, szefie. Praktycznie nie ma nic godnego uwagi. Ubrania, prawie wszystkie ciemne, bielizna, pończochy, buty. Musi mieć bzika na punkcie butów, znaleźliśmy osiem par.

Angela Louette siedziała w fotelu, na pozór obojętna.

— Lodówka jest dobrze zaopatrzona. Choć mieszka sama, pichci sobie obiadki. Fotografie, przede wszystkim jej i dziecka, z czasów kiedy była o wiele młodsza. Zeszyt z rachunkami, w którym notuje wpływy obok nazwiska klientów.

— Zapominasz o najważniejszym — wtrącił drugi specjalista.

Pierwszy wzruszył ramionami.

— Jeśli to może cokolwiek znaczyć! Na szafie jest kurz, a na tym kurzu plama od smaru czy oliwy, jakich używa się do czyszczenia broni.

Odezwała się Angela:

— W tym domu nigdy nie było broni.

— A jednak ślady są świeże. W koszu znalazłem tłusty papier, w który owinięty był rewolwer.

— W takim razie to był rewolwer Marcela i on go zabrał.

Maigret wszedł na krzesło, żeby zobaczyć plamę na własne oczy.

— O trzeciej proszę się stawić na Quai des Orfèvres.

— A moi klienci? Panu się zdaje, że nie mam nic do roboty?

— Dam pani oficjalne wezwanie.

Wyjął z kieszeni żółty formularz i wypełnił go.

— A więc o trzeciej.

Lapointe czekał cierpliwie. Podeszli do czarnego samochodu zaparkowanego trzysta metrów od domu. Ludzie Moersa także odjechali.

— Ona ma telefon?

— Tak.

— Może skorzysta z tego, że jest sama, i zadzwoni do Tulonu. Czy wśród zdjęć była fotografia starej?

— Trzy czy cztery dawne zdjęcia. A także fotografie wąsatego mężczyzny; powiedziała, że to wuj Antoine.

Maigret wrócił na obiad do domu. Jak wczoraj, żona nie zadawała mu żadnych pytań. Wspomniała tylko o pogrzebie.

— Przyszedł ktoś?

— Tylko siostrzenica i ja z Lapointe'em. Mszę odwołano naprędce. Wydawać by się mogło, że wszyscy spieszą się, żeby z tym skończyć jak najprędzej.

Kiedy wrócił do biura, Janvier powiedział mu:

— Komisarz Marella dzwonił z Tulonu i prosił o telefon.

— Proszę mnie z nim połączyć.

Parę minut później rozmawiali.

— Marella?

— Tak. Zadzwoń na wszelki wypadek. Twój Marcel przyjechał wczoraj późnym wieczorem i od razu poszedł do baru „Admirał”. Poznał mnie i przywitał się. Przy barze rozmawiał cicho z Bobem; niczego nie mogłem usłyszeć, bo ustawili na cały głos szafę grającą.

— Nikogo z nimi nie było?

— Nie. W pewnym momencie Bob zamknął się w kabinie telefonicznej i gdzieś dzwonił. Kiedy wrócił, wydawał się zadowolony i wykonał gest, który przetłumaczyłem na: „W porządku!”

— To wszystko?

— Nie. Twój Marcel wynajął pokój w hotelu „Pięć Kontynentów” w alei de la Republique. Wstał o dziewiątej rano i pojechał samochodem do Sanary. Nic ci to nie mówi?

— Nie.

— Tam mieszka Pepito, starszy z dwóch braci Giovanni.

Bracia Giovasni przez długi czas uważani byli za szefów przestępców z wybrzeża. Młodszy, Marco, mieszkał w Marsylii, Pepito — w Sanary, gdzie urządził sobie luksusową willę i żył spokojnie.

Obu braci zatrzymywano z dziesięć razy i zawsze trzeba było ich zwolnić z braku dowodów.

Teraz się postarzel i wiedli spokojne życie bogatych emerytów.

— Długo Marcel siedział w willi?

— Prawie godzinę. Potem wrócił do baru „Admirał”, a następnie poszedł na obiad do włoskiej restauracji na starym mieście.

— Miał już kiedyś kontakty z braćmi Giovanni?

— Nic o tym nie wiem.

— Możesz śledzić Pepita. Chciałbym wiedzieć, czy w najbliższych dniach będzie gdzieś wychodził lub przyjmował u siebie kogoś spoza kręgu stałych gości.

— Zrobi się. Usługa za usługę. Śledztwo się posuwa?

— Zarysowuje się trop, ale nigdzie nie prowadzi. Kiedy z tym skończę, wyjadę odetchnąć gdzieś na słońce, w twoim rewirze.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Od jak dawna nie widzieliśmy się?

— Dziesięć lat? Dwanaście? To było przy sprawie Porquerolles.

— Pamiętam. Do zobaczenia, Maigret.

Razem zaczęli karierę na Quai des Orfèvres i przez ponad dwa lata pracowali w drogówce, póki nie przydzielono ich najpierw do ochrony dworców, a potem domów towarowych. Obaj byli wówczas młodzi, nieżonaci. Stary Joseph przyniósł wezwanie, które Maigret dał rano Angeli.

— Wprowadź ją.

Była bledsza i bardziej napięta niż zwykle. Czy to atmosfera policyjnego biura tak na nią wpłynęła?

— Proszę siadać.

Wskazał jej zwykłe krzesło przy biurku i otworzył drzwi do pokoju inspektorów.

— Lapointe, możesz przyjść? Weź notes.

Młody Lapointe często służył mu za stenografa. Usiadł pod ścianą z ołówkiem w ręku.

— Jak pani widzi, tym razem chodzi o oficjalne przesłuchanie. Wszystko, co pani powie, będzie zanotowane i na końcu podpisze pani protokół. Zapewne zadam pani pytania, na które pani już odpowiadała, ale odpowiedzi te będą zarejestrowane.

— Słowem, uważa pan mnie za podejrzaną numer jeden.

— Po prostu za podejrzaną. Nie ma numerów. Nie żywiła pani żadnych ciepłych uczuć do swojej ciotki.

— Kiedy jej powiedziałam, że jestem w ciąży, zadowolona się ofiarowaniem mi stu franków.

— A więc zarzucała jej pani skąpstwo.

— Była egoistką. Nie troszczyła się o innych. Jestem pewna, że po raz drugi wyszła za mąż tylko dla pieniędzy.

— Miała trudną młodość?

— Nawet nie. Jej ojciec żył w dobrobycie, jak wówczas mówiono. Rodzina mieszkała w okolicy Ogrodu Luksemburskiego i obie dziewczyny, moja matka i ciotka, skończyły dobre szkoły. Dopiero będąc w podeszłym wieku mój dziadek zaczął spekulować i stracił prawie wszystko, co posiadał.

— Wtedy poślubiła pana Caramé?

— Tak. Dosyć często przychodził do moich dziadków. Przez długi czas myśleli, że stara się o moją matkę. Ona też tak myślała, a w końcu wzięła go ciotka.

— A pani matka?

— Wyszła za mąż za urzędnika bankowego, który nie cieszył się dobrym zdrowiem. Umarł młodo i matka zaczęła pracować w firmie handlowej na ulicy Paradis.

— Miała więc pani bardzo skromne życie?

— Tak.

— Ciotka wam pomagała?

— Nie. Nie wiem dokładnie, dlaczego wybrałam zawód masażystki. Może dlatego, że w naszym domu mieszkała jedna masażystka i ze miała samochód, którym jeździła do klientów.

— Pani też ma samochód?

— Tak, 2 CV.

— Żeby móc jeździć do domku na wsi, kiedy go już pani zdobędzie?

Zmarszczyła brwi.

— Kto panu o tym mówił?

— Nieważne. Podobno całe życie marzyła pani o domku na wsi, niedaleko od Paryża, gdzie spędzałyby pani weekendy.

— Nie wiem, co w tym złego. Wielu ludzi o tym marzy, nie? Moja matka też marzyła, ale umarła, zanim mogła to zrealizować.

— Ile się pani spodziewa w spadku po ciotce?

— Czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy? Nie wiem. Opieram się na tym, co mówiła. Może jeszcze gdzieś lokowała pieniądze?

— Słowem, jeśli ją pani odwiedzała, to tylko ze względu na spadek.

— Skoro tak pan to rozumie... W końcu była moją jedyną rodziną. Żył pan już kiedyś sam, panie Maigret?

— A pani syn?

— Rzadko go widuję. Tylko wtedy, gdy ma kłopoty. Nie lubi mnie.

— Niech się pani zastanowi, zanim odpowie pani na pytanie, które teraz zadam, i proszę pamiętać, że odpowiedzi są rejestrowane. Czy często zdarzało się pani chodzić do ciotki pod jej nieobecność?

Wydało mu się, że zbladła, ale nie straciła zimnej krwi.

— Pozwoli pan, że zapalę?

— Proszę. Ale nie mogę pani poczęstować.

Na biurku leżały same fajki, sześć fajek ułożonych według wielkości obok siebie.

— Zadałem pani pytanie.

— Niech pan je powtórzy.

Zrobił to bez wahania.

— To zależy, co pan rozumie przez „chodzić”. Parę razy przyszedłam na quai de la Mégisserie przed jej powrotem. Wtedy czekałam.

— W mieszkaniu?

— Nie. Na schodach.

— Długo to nieraz trwało?

— Jeśli długo nie wracała, szłam przejść się na ulicę, pooglądać ptaki.

— Ciotce nigdy nie wpadło do głowy dać pani klucz od mieszkania?

— Nie.

— A gdyby zasłabła?

— Była przekonana, że jej się to nigdy nie zdarzy. Nigdy w życiu nie zemdląca.

— Drzwi zawsze były zamknięte?

— Tak.

— Nawet kiedy była w domu?

— Tak. Zamykała drzwi za sobą.

— Kogo się obawiała?

— Wszystkich.

- Pani też?
- Nie wiem.
- Była wobec pani serdeczna?
- Nigdy nie była serdeczna. Mówiła, żebym usiadła, robiła mi kawę i wyjmowała z metalowego pudełka herbatniki.
- Nie pytała o pani syna?
- Nie. Widywała go chyba równie często, jeśli nie częściej niż ja.
- Nigdy nie mówiła, że panią wydziedziczy?
- Dlaczego miałyby mnie wydziedziczyć?
- Powracam do tych zamkniętych drzwi. Przekonałem się, że zamek jest nieskomplikowany i że łatwo można zdjąć odcisk.
- Po co?
- Nieważne. Powracam do mego pytania, z małym wariantem. Czy nigdy nie zdarzyło się pani zostać samej w tym mieszkaniu?
- Nie.
- Dobrze się pani zastanowiła?
- Tak.
- Ciotka mogła wyjść na chwilę, żeby coś kupić, na przykład herbatniki, jeśli pudełko było puste.
- To się nie zdarzyło.
- Czyli nigdy nie miała pani okazji otwierać szuflad?
- Nie.
- Nie widziała pani książeczki oszczędnościowej?
- Zauważyłam ją raz, kiedy szukałam czegoś w komodzie, ale nie wiem, na jaką sumę opiewa.
- A książeczkę czekową?
- Nie mam pojęcia, co ona ma w banku. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, że miała konto.
- Ale wiedziała pani, że miała pieniądze.
- Domyślałam się.
- Nie tylko oszczędności.
- O co panu chodzi? Nie rozumiem.
- Nieważne. Czy próbowała pani kiedyś pożyczyć od niej pieniądze?
- Tak, raz. Mówiłam już panu. Kiedy byłam w ciąży i kiedy dała mi sto franków.
- Chodzi o mniej odległą przeszłość. Marzyła pani o domku na wsi. Nie prosiła jej pani o pomoc?
- Nie. Widać, że jej pan nie znał.
- Spotkałem ją.
- I jak wszyscy wziął ją pan za uroczą starszą panią o słodkim i nieco zawstydzonym uśmiechu. W rzeczywistości była twarda jak stal.
- Ma pani szalik w czerwone paski albo w kratę?
- Nie.
- A czy w salonie na kanapie, u ciotki, jest poduszka w czerwone paski?
- Możliwe. Zdaje się, że tak.
- Dlaczego pokłóciła się pani wczoraj rano z kochankiem?
- Bo zrobił się niemożliwy.
- Co to znaczy?
- Kiedy spotykam mężczyznę, nie wymagam od niego dowodów dobrego wychowania. Marcel przesadzał. Nie szukał pracy. Dziesięć razy mógł zaangażować się w jakimś barze. Wolał mieszkać u mnie i nic nie robić.
- Znał pani ciotkę?

- Ma się rozumieć, że go nie przedstawiłam.
- Wiedział o jej istnieniu?
- Przypuszczam, że kiedyś mu o niej mówiłam.
- I o tym, że musi mieć kupę forsy?
- Nie wyrażam się w ten sposób.
- Krótko mówiąc, wiedział, gdzie mieszkała i że miała przynajmniej oszczędności.
- Możliwe.
- Widziała go pani kiedyś na quai de la Mégisserie?
- Nigdy.
- A jednak był tam i widziały go co najmniej dwie osoby.
- W takim razie wie pan więcej niż ja.
- Czy była mowa o ewentualnym małżeństwie?
- Na pewno nie. Od kiedy mam syna, nigdy nie myślałam o wyjściu za mąż. Od mężczyzn biorę to, co pragnę wziąć, ale dalej nie sięgam. Rozumie pan, o co mi chodzi?
- Bardzo dobrze rozumiem. Pomówmy teraz o rewolwerze.
- Jeszcze?
- Przecież gdzieś musi być; przysiągłem sobie, że go znajdę. Przez jakiś czas był w szufladzie szafki nocnej, u ciotki. Twierdzi pani, że nic pani nie wiedziała o jego istnieniu i że ciotka bała się broni palnej.
- To prawda.
- A jednak trzymała tę broń pod ręką, co oznacza, nawiasem mówiąc, że nie była tak obojętna na niebezpieczeństwo, jak to pani utrzymuje.
- Do czego pan zmierza?
- Maigret powoli nabijał fajkę.
- Dzisiaj rano znaleźliśmy u pani ślad tej broni. Przez pewien czas ukryta była na szafie.
- To pan tak twierdzi.
- Ekspertyza to ustali. Albo pani ją tam schowała, albo pani kochanek.
- Nie lubię tego słowa.
- Krępuje panią?
- Jest nieściste. Nie było między nami miłości.
- Załóżmy, że to on poszedł na quai de la Mégisserie.
- Żeby zabić moją ciotkę?
- Żeby znaleźć to, co nazywam forszą, choć pani tego słowa nie lubi. Starsza pani wraca i spotykają się twarzą w twarz. Posługuje się poduszką, żeby ją udusić.
- Ale dlaczego zabiera rewolwer? Dlaczego ukrywa go następnie na szafie, a potem zabiera z sobą do Tuluzy?
- Sądzi pani, że go zabrał?
- Jeśli naprawdę istnieje, to, jak sam pan mówi, gdzieś musi być. Nie byłam u ciotki w dniu jej śmierci. Jestem przekonana, że Marcel też tam nie był. Może to i łajdak, ale nie morderca. Ma pan jeszcze jakieś pytania?
- Zajęła się pani sprawą spadku?
- Jeszcze nie. Mam teraz iść do notariusza, to mąż jednej z moich klientek. Sama nie wiedziałabym, kogo wybrać.
- Wstała jakby z ulgą.
- Kiedy mam to podpisać?
- Mówi pani o zeznaniach? Kiedy, Lapointe?
- Za pół godziny skończę przepisywanie.
- Słyszała pani. Proszę poczekać w poczekalni.
- Nie mogłabym wrócić tu później?

— Nie. Chcę z tym skończyć. Zobaczysz pani z notariuszem trochę później, a dziś wieczorem będzie pani bogatsza o kilkadziesiąt tysięcy franków. A właśnie, zamierza pani zamieszkać na quai de la Mégisserie?

— Moje mieszkanie mi wystarczy. Wyprostowana podeszła do drzwi i wyszła bez słowa.

Wsiadł do nocnego pociągu i na szczęście był sam w przedziale wagonu sypialnego. Kiedy wstało słońce, obudził się w Montelimar, jak zwykle, gdy jechał na południe.

Montelimar było dla niego granicą; tu zaczynała się Prowansja i odtąd nie tracił nic z krajobrazu. Wszystko mu się podobało — roślinność, blad różowe i lawendowe domy ze spieczoną od słońca dachówką, wsie ocienione platanami, ludzie przesiadujący w ogródkach kawiarnianych.

W Marsylii, kiedy pociąg manewrował na dworcu Saint-Charles, Maigret słuchał śpiewnego akcentu i wszystko wydawało mu się wyborne.

Już od dawna nie był z żoną na wybrzeżu i obiecał sobie, że spędzą tu wakacje. Ale wypadłyby w lecie i w tłumie!

Kilka kilometrów dalej odsłaniało się morze o tym samym co na kartach pocztowych błękitcie, barki i nieruchome sylwetki rybaków.

Komisarz Marella czekał na dworcu i wymachiwał do niego rękami.

— Dlaczego nie przyjeżdżasz częściej? Od ilu lat nie byłeś w Tulonie?

— Z dziesięć lat, mówiłem ci przez telefon. Nie przeszkadza ci, że wkraczam w twój rewir?

Maigret znalazł się poza granicami swojej władzy. Tutaj szefem był Marella. Był oczywiście ciemnowłosy, niewysoki, ale bardzo żywy. Od czasu ich ostatniego spotkania urósł mu brzusek, co nadawało mu wygląd mieszczucha.

Dawniej równie dobrze można go było wziąć za gangstera co za policjanta. Gangsterzy też mają skłonności do tycia, ale w tym wieku na ogół wycofują się z interesów.

— Masz ochotę na kawę?

— Chętnie. Piłem w pociągu, ale była niedobra.

— Przejdźmy przez plac.

Plac połyskiwał w mocno przygrzewającym już słońcu. Weszli do kawiarni i usiedli przy barze.

— No, co słyhać?

— Nic. To zwariowana sprawa, z której nie umiem się wyplątać. Gdzie o tej porze jest Marcel?

— W łóżku. W nocy świętował z przyjaciółmi w restauracji „Wiktor”, naprzeciwko Port-Marchand. Same drobne płatki. O północy przyłączyło się do nich parę dziewczyn.

— Poznałeś go, kiedy tu mieszkał?

— Nigdy nie mieszkał długo w Tulonie. Jego najdłuższy pobyt trwał dwa lata. Trzeba powiedzieć, że tutejsi cwaniacy nie traktują go poważnie i uważają trochę za amatora.

— Kim jest ten Bob, który służy im za skrzynkę pocztową?

— Barman z „Admirała”. Myślę, że trzyma się na uboczu. W każdym razie ani ja, ani moi ludzie na niczym nie mogliśmy go przyłapać.

— A bracia Giovanni?

— Tutaj jest tylko jeden, starszy, Pepito. Drugi mieszka podobno w okolicy Paryża. Pepito kupił wspaniałą willę od starej Amerykanki, która wróciła do Stanów, umrzeć w ojczyźnie. To najpiękniejsza willa w Sanary, z prywatnym portem, gdzie trzyma swój jacht. : Widuje bardzo niewielu ludzi, a prawie nigdy dawnych i kumpli. Zależy mu raczej na tym, żeby o nim zapomniano. Niemniej mam go na oku. Wie o tym i kiedy spotykamy się na ulicy, demonstracyjnie się ze mną wita.

— Zastanawiam się, po co Marcel do niego poszedł.

— Ja też jestem tego ciekaw. Tym bardziej, że Marcel nigdy z nim nie pracował.

— W którym hotelu się zatrzymał?

— Hotel „Pięć Kontynentów” w alei de la République, dwa kroki od Prefektury Morskiej. Była dopiero ósma rano.

— Chcesz iść ze mną? To ci da jakieś pojęcie o sprawie. Będzie wściekły, że obudzimy go tak wcześnie.

Maigret nie zarezerwował pokoju „sądząc, że wyjedzie tego samego wieczoru. Marella spytał o numer pokoju Marcela, weszli obaj na górę i mocno zapukali do drzwi. Po jakimś czasie zaspany głos zapytał:

— Kto tam?

— Policja — odpowiedział Marella.

I, Marcel, bosy, w postrzępionej piżamie, dowlókł się do drzwi i otworzył je.,

— No proszę! Pan też tu — wymamrotał widząc Maigreta. — Skoro komisarz Marella jest z panem...

Odsunął zasłony, napalił papierosa i zdjął spodnie leżące na fotelu.

— Co znowu narobiłem?

— Prawdopodobnie nic nowego.

— A właśnie — wtrącił Marella zwracając się do Marcela — wczoraj po południu byłeś u Pięknej Marii. Nie wiesz, że od wielu miesięcy jest z Dziobaty?

— On siedzi w kryminale.

— To prawda, zamknąłem go w zeszłym tygodniu i tym razem sprawa jest poważna, chodzi o przemyt narkotyków. Tylko że koledzy są na wolności, a ty nie jesteś stąd.

— Dzięki za radę. Znam Marię od tak dawna. A pan, panie Maigret? Dlaczego wybrał się pan w podróż, skoro widzieliśmy się przedwczoraj?

— Może po to, żeby zawieźć pana do Paryża.

— Co? Pan żartuje.

— Chodzi przede wszystkim o klucz.

— Jaki klucz?

— Od mieszkania starej. Kto zdjął odcisk z zamka? Tej pracy Angela nie umiałaby wykonać przyzwoicie.

Marcel ani drgnął.

— Mniejsza z tym! Będzie pan mówił w obecności stenografa i podpisze pan protokół.

— Ale, psiakrew, ja nie mam nic wspólnego z tą cholerną sprawą! Zgoda, żyłem z żandarmem. Czekając, aż znajdzie się coś lepszego, nie ukrywam, i jestem zadowolony, że wyjechałem.

— Co najmniej dwie osoby pana rozpoznały.

— Z czego?

— Z fotografii znalezionej w naszej kartotece, a raczej w kartotece obyczajówki.

— Co to za osoby?

— Handlarz ptaków z parteru i lokatorka mieszkająca naprzeciwko starej. Nawet ją pan przeprosił, kiedy wpadł pan na nią, wbiegając ze spuszczoną głową na schody.

— Śniło im się.

— Miał pan na sobie garnitur w kratkę, ten, co wczoraj.

— Sprzedają je we wszystkich sklepach. W samym Paryżu jest ich nie wiem ile tysięcy.

— Więc nie miał pan klucza. Otworzył pan drzwi wytrychem?

— Długo pan tu będzie?

— Nie wiem. Bo?

— Bo mogę zamówić kawę i rogaliki na górę.

— Proszę.

Zadzwoił na pokojówkę i wydał jej polecenie.

— Nie spodziewajcie się, że czymkolwiek was poczęstuję. Nie otwierałem żadnego zamka i nie wiem nawet, jak się to robi.

— Kiedy powiedziała panu o rewolwerze?

— Kto?

— Dobrze pan wie. Angela. Sam pan nie odgadł, że w mieszkaniu starszej pani jest rewolwer.

— Nie wiedziałem, że ona istnieje.

— Nieprawda. Angela sama przyznała i podpisała te zeznania, że pokazała panu okna mieszkania ciotki mówiąc, że któregoś dnia dostanie po niej spadek.

— Wierzy pan w to? Nie wie pan, że ona kłamie jak najęta?

— A pan?

— Mówię panu prawdę. Nie mogę sobie pozwolić na kłamstwa, bo policja ma mnie na oku. Najlepszy dowód to zdjęcie, które znalazł pan w kartotece i którego sobie i nawet nie przypominam.

Pokojówka przyniosła kawę i rogaliki i przyjemny zapach napełnił pokój. Marcel, nadal bosy i w piżamie, usiadł przy okrągłym stoliku i zabrał się do jedzenia.

Marella spojrział na Maigreta, jakby pytając, czy może się wtrącić.

— Co naopowiadałeś Bobowi?

— Wczoraj wieczorem, jak przyjechałem? Opowiedział, co u niego słyhać, a ja, co u mnie. To stary kumpel, nie widzieliśmy się kopę lat.

— I co jeszcze?

— Nie rozumiem.

— Który z was pomyślał o Giovannim?

— Może ja. Swego czasu też go znałem. Byłem jeszcze smarkaczem, a on mieszkał na Montmartrze.

— Dlaczego więc to nie ty do niego zadzwoniłeś?

— Po co miałbym do niego dzwonić?

— Żeby się umówić. Bob zrobił to zamiast ciebie. Co mu kazałeś powiedzieć?

— Nie wiem, o co panu chodzi.

— Nie udawaj durnia. Dobrze wiesz, że nie można, ot tak sobie, zapukać do drzwi Giovanniego, zwłaszcza jeśli się jest małym alfonsem w potrzebie. A wczoraj poszedłeś do niego i rozmawiałeś z nim całą godzinę.

— Gadaliśmy sobie.

— O czym?

Zrobił się nerwowy. Rozmowa zaczęła przybierać nieprzyjemny obrót.

— Powiedzmy, że pytałem, czy nie ma dla mnie pracy. Prowadzi szereg interesów, całkowicie legalnych. Mógłby potrzebować zaufanego człowieka.

— Zatrudnił cię?

— Ma się zastanowić i za kilka dni da odpowiedź.

Marella znów spojrział na Maigreta dając znak, że skończył.

— Słyszał pan, co powiedział mój kolega Marella? Wyda instrukcje w swoim biurze. Pójdzie pan tam i powtórzy to, co mówił pan tutaj. Poczekaj pan, aż przesłuchanie zostanie przepisane na maszynie, i podpisze je pan. Niech pan niczego nie zapomni, zwłaszcza tego, co dotyczy Boba i Giovanniego.

— Czy muszę o nim mówić?

— Skłamał pan?

— Nie. Ale nie spodoba mu się, że mówiłem o nim z policją.

— Nie ma innego sposobu. Nie wyjedzie pan z Tulonu bez mego zezwolenia.

— W porządku. A jeśli nie znajdę pracy, zapłaci mi pan za hotel?

— Może załatwimy ci inny pensjonat — wtrącił Marella — Dobrze ci tam będzie, jest dużo cienia.

Maigret i Marella wyszli na ulicę.

— Czy nie za bardzo wtrącałem się do sprawy, która do mnie nie należy? — spytał Marella z pewnym niepokojem.

— Przeciwnie. Oddałeś mi wielką przysługę. Możesz to samo zrobić z Bobem.

Wystarczyło przejść przez aleję. Bar znajdował się na rogu bulwaru i wąskiej uliczki zamkniętej dla samochodów. Nazywał się „Admirał”. Na chodniku stały cztery stoliki nakryte obrusem w kratkę. Przez kontrast ze słońcem, które spokojna woda czyniła jeszcze bardziej oślepiającym, wewnątrz wydawało się mroczne i panował tam przyjemny chłód.

Barman ze złamanym nosem boksera i spłaszczonymi uszami zajęty był myciem kieliszków. O tej porze nie było jeszcze klientów, kelner sprzątał.

— Dzień dobry, komisarzu. Co mam panu podać? Zwrócił się do Marelli, bo nie znał Maigreta.

— Ma pan wino prowansalskie? — spytał Maigret.

— Różowe w karafce.

— Dwa różowe. Albo karafkę, jak pan chce.

Obaj byli rozluźnieni, tylko Bob nie czuł się zbyt swobodnie.

— Powiedz, Bob, miałeś wczoraj wieczorem gościa, prawda?

— Wie pan, tutaj gości nie brakuje.

— Nie mówię o kliencie. Myślę o kimś, kto przyjechał specjalnie z Paryża, żeby się z tobą zobaczyć.

— Zobaczyć się ze mną?

— No, poprosić cię o przysługę.

— Nie wiem, jaką przysługę mógłbym mu oddać.

— Dawno go znasz?

— Siedem albo osiem lat.

— Jest w porządku?

— Nigdy nie siedział. Ma czyste konto.

— A ty?

— Nie całkiem, dobrze pan wie.

— Czego chciał?

— Był przejazdem, chciał pogadać.

— Prosił, żebyś zadzwonił.

— A!

— Nie udawaj głupka. Jeden z moich ludzi był na sali i widział, jak zamknąłeś się w kabinie, podczas gdy twój kumpel czekał. To trwało dosyć długo. Był niespokojny. Kiedy wróciłeś na miejsce i cicho mu coś powiedziałaś, wydawało się, że odetchnął.

— Chodzi pewnie o jego dawną dziewczynę, Marię, poszedł się z nią zobaczyć.

— Mieszka teraz w Sanary?

— Oczywiście nie.

— Nie musisz być taki dyskretny, Bob. Zadzwoniłeś do Pepita Giovanni, z którym kiedyś pracowałeś, zanim się ustatkował. Zgodził się przyjąć twojego kumpla Marcela. I to jest raczej dziwne, bo Giovanni nie przyjmuje byle kogo, zwłaszcza w domu. Co mu powiedziałaś?

— Co powiedziałem? Że mam tu kogoś, kto szuka pracy.

— Nie!

— Dlaczego pan mówi nie?

— Bo dobrze wiesz, że to nieprawda. Zresztą Giovanni pierwszy się z tego uśmieje, kiedy mu opowiem.

— Powiedziałem mu, że Marcel proponuje mu poważny interes. Interes całkowicie legalny.

— Widziałeś model?

— Nie.

— Wiesz, o co chodzi?

— Marcel mi nie powiedział. Tyle tylko, że to duża forsa. Interes międzynarodowy, który zainteresuje zwłaszcza Amerykę.

— No, to już lepiej, w końcu ci uwierzę. Giovanni się zgodził?

— Powiedział, żebym przysłał kumpla, wczoraj na trzecią.

— To wszystko?

— Kazał mu wziąć ze sobą model i nikogo nie przyprowadzać.

Różowe wino było chłodne i pachniało owocami. Maigret przysłuchiwał się rozmowie uśmiechając się lekko.

Zawsze lubił Marellę, który zajmowałby może teraz jego miejsce na Quai des Orfèvres, gdyby został w Paryżu. Ale lepiej czuł się w Tulonie. Urodził się w Nicei. Znał tu wszystkich opryszków, wszystkie dziewczyny między Mentoną a Marsylią.

— Chcesz go o coś zapytać, Maigret?

Bob zmarszczył brwi.

— Chce pan powiedzieć, że to komisarz Maigret?

— Dokładnie tak. Rzykujesz, że będziesz z nim miał do czynienia.

— Przepraszam, że pana nie poznałem. I, jako że Maigret wyjął portfel, dodał:

— Nie, nie. To na rachunek firmy.

— Nie ma mowy.

Położył dziesięć franków na stole.

— Przypuszczam, że po naszym wyjściu zadzwoni pan do Giovanniego.

— Jeśli nie chcecie, nie zrobię tego. Nie chciałbym być z wami w złych stosunkach. Ani z komisarzem Maigret.

Z powrotem znaleźli się w słońcu, wśród marynarzy z błękitnymi kołnierzami i czerwonymi pomponami na czapkach.

— Chcesz, żebyśmy razem poszli do Giovanniego? Nie wolisz iść tam sam?

— Przeciwnie.

— W takim razie wstąpmy do biura po samochód.

Minęli La Seine, gdzie przycumowany był zdemolowany statek, z daleka zobaczyli cypel Sanary, na którego końcu wznosiła się obszerna willa.

— To jego dom. Nawet jeśli Bob nie telefonował, zrobił to Marcel, i Giovanni nas oczekuje. Z nim nie pójdzie tak łatwo.

ROZDZIAŁ VI

Przywitał ich w wielkim, zalanym światłem salonie. Miał na sobie kremowy, jedwabny garnitur i podszedł do nich z wyciągniętą ręką.

— Dzień dobry, Marella.

Udał, że rozpoznał nagle Maigreta.

— No proszę! Pan Maigret! Nie spodziewałem się takiego zaszczytu.

Był przystojnym, postawnym mężczyzną, bez śladu otyłości. Musiał mieć pod sześćdziesiątkę, ale na pierwszy rzut oka wyglądał raczej na pięćdziesiąt.

Salon urządzony był ze smakiem, niewątpliwie przez architekta wnętrz, a jego rozmiary nadawały mu trochę wygląd teatralnej dekoracji.

— Gdzie wolicie usiąść, tutaj czy na tarasie? Zaprowadził ich na taras, gdzie pod parasolami stały wygodne fotele.

Zjawił się kamerdyner w białej kurtce i czekał wyprostowany” jak na baczność.

— Czym mogę panom służyć? Może Tom Collins? O tej porze to najbardziej orzeźwiający trunk.

Maigret skinął głową, Marella również.

— Dwa Coliinsy, Georges. Dla mnie jak zwykle.

Był starannie ogolony, miał wypielęgnowane dłonie manicure. Zachowywał się swobodnie.

— Przyjechał pan dziś rano? — spytał Maigreta, jakby chcąc nawiązać rozmowę.

Morze rozciągało się po horyzont, a w małym prywatnym porcie kołysał się jacht.

— Przyjechałem nocnym pociągiem.

— Chyba nie tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć?

— Kiedy jechałem do Tulonu, nie przypuszczałem, że pana odwiedzę.

— Tym bardziej czuję się zaszczycony.

Mimo pozornej dobroduszości była w jego wzroku pewna surowość, którą daremnie starał się pokryć udawaną serdecznością.

— Słowem, znajduje się pan poza swoim terytorium, komisarzu?

— Zgadza się. Ale mój przyjaciel Marella jest na swoim terenie.

— Bardzo dobrze rozumiemy się z Marellą, czyż nie?

— Tak długo, póki nie daje mi pan okazji do interweniowania w pańskie sprawy...

— Prowadzę tak spokojne życie! Wie pan o tym. Prawie nie wychodzę. Ten dom stał się niemal moim światem. Czasem wpadnie ktoś z przyjaciół, czasem jakaś ładna dziewczyna.

— Czy zalicza pan do swoich przyjaciół Marcela?

Wydawał się urażony.

— Tego łajdaczyne, który tu przyszedł wczoraj?

— A jednak przyjął go pan.

— Ponieważ moją zasadą jest dać każdemu szansę. Kiedyś sam potrzebowałem pomocy.

— I udzielił mu pan jej?

Kamerdyner wrócił niosąc dwie zapotniałe szklanki i mniejszą szklaneczkę z sokiem pomidorowym.

— Panowie wybaczą, ale nigdy nie piję napojów alkoholowych. Na zdrowie! Zdaje się, że zadał mi pan pytanie?

— Pytałem, czy mógł mu pan pomóc.

— Niestety, nie. Nie widzę dla niego miejsca w żadnym z moich przedsięwzięć. Widzi pan, panie Maigret, zostałem poważnym człowiekiem interesów i dużo wody upłynęło w Sekwanie od czasu, kiedyśmy się spotkali. Mam dwanaście kin na Wybrzeżu, z czego dwa w Marsylii, jedno w Antibes, trzy w Cannes. Ze nie wspomnę o Aix-en-Provence. Mam

również kabaret w Marsylii i trzy hotele, z czego jeden w Mentonie. Wszystko to najzupełniej legalnie. Prawda, Marella?

— Zgadza się.

— Posiadam także restaurację w Paryżu, w alei de la Grande Armée, którą prowadzi mój brat. Bardzo elegancka restauracja, gdzie można doskonale zjeść, serdecznie tam panów zapraszam.

Maigret obserwował go z niewzruszoną miną.

— Widzą panowie, że w tym wszystkim nie ma miejsca dla małego sutenera bez polotu.

— Zostawił model?

Giovanni, mimo opanowania, drgnął.

— O jakim modelu pan mówi? Chyba to jakieś nieporozumienie.

— Umówił się pan z Marcellem, ponieważ Bob powiedział panu przez telefon, że idzie o poważny interes, interes na światową skalę.

— Nie rozumiem. Czy to Bob opowiedział panom tę niewymyślną historyjkę?

— Miało to szczególnie zainteresować Amerykanów.

— Ale ja nie mam żadnych interesów z Amerykanami.

— Opowiem panu pewną historię, Giovanni, i mam nadzieję, że wyciągnie pan z niej jakieś wnioski dla siebie. Żyła sobie w Paryżu delikatna i urocza starsza pani, która wbiła sobie do głowy, że w czasie jej nieobecności pewne rzeczy w mieszkaniu zmieniają miejsce.

— Nie wiem, co...

— Chwileczkę. Ta starsza pani zwróciła się o pomoc do Policji Śledczej i początkowo wzięliśmy ją za wariatkę. Niemniej postanowiłem ją odwiedzić, choćby tylko po to, żeby ją uspokoić

— Wydaje mi się, że coś o tym czytałem w prasie.

— Istotnie, pisano o tym, ale tylko w paru słowach, nie wiedząc, o co chodzi.

— Cygaro?

— Dziękuję, nie. Wolę fajkę.

— A pan, Marella?

— Chętnie.

Na stole stało pudełko z hawajskimi cygarami, obaj mężczyźni wzięli po jednym.

— Przepraszam. Nie chciałem panu przerywać. A więc poszedł pan do tej starszej pani...

— Jeszcze do tego nie doszedłem.

— Słucham pana.

— Miała siostrzenicę, niemłodą już, odznaczającą się wyraźnym upodobaniem do mężczyzn młodszych od siebie. Od sześciu miesięcy, na przykład, żyła ona z Marcellem, którego przyjął pan wczoraj.

Giovanni zaczął okazywać zainteresowanie.

— Ta starsza pani została zamordowana, zanim zdążyłem złożyć jej obiecaną wizytę.

— W jaki sposób zamordowana?

— Przez uduszenie. Przyciśnięto jej poduszkę do twarzy. W jej wieku nie mogła się długo opierać.

— Zastanawiam się, jaki to ma związek ze mną.

— Mówię panu, że Marcel był kochankiem siostrzenicy. Dwóch świadków widziało go co najmniej raz w domu staruszki.

— Podejrzewa pan, że to on?

— On albo siostrzenica. W końcu to na jedno wychodzi.

— Czego chcieli?

— Modelu.

— Co to znaczy?

— To ten przedmiot, który Marcel panu pokazał.

— O jaki przedmiot chodzi?

— Wie pan lepiej ode mnie, ponieważ prawdopodobnie jest teraz w pańskim posiadaniu.

— Dalej nie rozumiem.

— Chodzi o rewolwer. I przyznam się panu od razu, że nie wiem, jakie ma zalety i dlaczego jest taki cenny.

— Nigdy w życiu nie miałem broni, musi pan o tym wiedzieć. Jeszcze w dawnych czasach, kiedy byłem niedoświadczonym młokosem, policja często mnie zatrzymywała i nigdy nie mogli mnie przyszpilić za nielegalne posiadanie broni.

— Wiem.

— Nie rozumiem więc, dlaczego miałbym przyjąć rewolwer od trzeciorzędnego sutenera.

— Niech się pan nie obawia. Nie będę prosił mego przyjaciela Marellę, żeby przeszukał pańską willę od piwnicy po strych. Jest pan za sprytny, by ukryć ten przedmiot w miejscu, gdzie moglibyśmy go odnaleźć.

— Dziękuję za komplement. Jeszcze jeden Tom Collins?

— Jeden wystarczy, dziękuję.

Marella nigdy nie widział, żeby Maigret pracował w sposób tak ostrożny. Mówił półgłosem, jakby nie przywiązując znaczenia do słów, ale wyczuwało się ich wagę.

— Przychodząc tu nie oczekiwałem, że wyjawi mi pan cel wizyty Marcela. Chciałem tylko pana uprzedzić. Z pewnością nie mówił panu, że ten rewolwer związany jest z morderstwem. Bez premedytacji zresztą. Starsza pani, która popołudnia spędzała na ławce w Tuileries, musiała z tych czy innych powodów wrócić wcześniej niż zwykle.. Zaskoczony intruz albo...

— Ma pan na myśli siostrzenicę?

— Tak, siostrzenicę. Jedno albo drugie schwyliło poduszkę z kanapy i przyciskało ją do twarzy starszej pani tak długo, jak było potrzeba... Zdaje pan sobie teraz sprawę, że ów „międzynarodowy” interes nie pasuje do pańskich obecnych zajęć. Chodzi mi o pańskie kina, hotele, restauracje itp.

Maigret zamilkł i spokojnie przyglądał się Giovanniemu, który musiał się czuć niezręcznie, ale nie okazywał tego

— Dziękuję, że mnie pan uprzedził. Jeśli ten facet wróci, natychmiast zostanie wyrzucony za drzwi.

— Nie wróci, jeśli pan go nie wezwie, a wiem, że tego pan nie zrobi.

— Był pan wtajemniczony, Marella?

— Od wczoraj.

— Czy powiedział pan swemu koledze, że stałem się poważnym człowiekiem interesów i jestem w doskonałych stosunkach z tutejszymi władzami z prefektem włącznie?

— Powiedziałem.

— Pozostaje mi więc tylko powtórzyć panom, że nie mam z tą sprawą nic wspólnego.

Maigret wstał wzdychając.

— Dziękuję za Collinsa,

Marella również się podniósł i Giovanni odprowadził ich przez salon na rozległy marmurowy podjazd.

— Z przyjemnością znowu panów zobaczę.

Wsiadli do samochodu.

— Nie jedź za daleko — powiedział Maigret do Marelli, kiedy opuszczali posiadłość. — Musi tu gdzieś być jakaś knajpa, skąd widać port przy willi.

Nie wyjechali z Sanary i zatrzymali się przed wymalowaną na niebiesko kawiarenką, przed którą czterech mężczyzn grało w kule.

— Co zamawiasz?

— Szklaneczkę różowego wina. Ten Tom Collins zostawia jakiś nieprzyjemny smak w ustach.

— Niezbyt dobrze rozumiem twoje postępowanie — powiedział cicho Marella. — Nie nalegałeś. Wydawało się, że wierzysz w to, co on ci mówi.

— Po pierwsze, tego typu człowiek nigdy się nie przyzna.

— To prawda.

— I o cóż mogę go oskarżać? Że po telefonie od Boba–barmana przyjął jakiegoś przestępcę. Nie wiem nawet, jak wygląda ten rewolwer.

— Istnieje naprawdę?

— Tak, istnieje. Właśnie szukając rewolweru intruzi po przesuwali rzeczy w mieszkaniu starej. Wyobrażasz sobie rewizję w tak ogromnym domu, nawet przy udziale całej miejscowej policji? Sądzisz, że Giovanni ukryłby broń po prostu w szafce nocnej? Zobaczymy, czy miałem rację.

Zobaczyli to kwadrans później. Mężczyzna w marynarskiej czapce wszedł na jacht i włączył motor.

Parę minut później Giovanni zszedł po schodach prowadzących do portu i także wszedł na pokład.

— Rewolwer zaczyna go parzyć, rozumiesz? Chce się go pozbyć jak najprędzej. Tak czy inaczej sprawa jest stracona.

Jacht wypłynął z portu i zostawiając za sobą potężną brudę na wodzie kierował się na pełne morze.

— Za kilka minut rewolwer wyląduje na wielometrowej głębokości. Nie ma żadnych szans, żebyśmy go odzyskali.

— Rozumiem.

— Co do mnie, skończyłem moje sprawy w Tulonie.

— Spodziewam się, że zjesz u nas kolację. Od czasu, kiedy byłeś tu ostatnio, urządziliśmy pokój gościnny.

— Wracam nocnym pociągiem.

— Czy to konieczne?

— Raczej tak. Jutro będę miał wypełniony dzień.

— Siostrzenica?

— Między innymi. Nadal pilnuj Marcela. Należałoby mieć na oku tego Boba, bardzo jest wpływowy jak na zwykłego barmana. Naprawdę myślisz, że Giovanni stał się przykładowym obywatelem?

— Od lat próbuję go na czymś przyłapać. Ci ludzie, nawet jeśli zrywają z przeszłością, nadal zachowują kontakt ze środowiskiem. Miałeś tego dowód.

Biały jacht zakreślił szeroki łuk na morzu i wracał już do portu.

— No, teraz na pewno czuje się lepiej, kiedy pozbył się tego osławionego „modelu”.

— Co będziesz robił do odjazdu pociągu?

— Chciałbym spotkać Długiego Marcela. Myślisz, że mogę go złapać u Marii?

— Nie przypuszczam. Po tym, co mu powiedziano o jej romansach, będzie ostrożny. W gruncie rzeczy to mięczak, nie lubi ryzykować.

— A w „Admirale”?

— Możliwe, że tam wpadnie.

Do baru poszli o piątej po południu; znowu było pusto. Bob nie stał przy barze, lecz siedział przy stoliku naprzeciwko Marcela.

Widząc policjantów Marcel nie mógł powstrzymać się od okrzyku:

— Znowu!

— Tak: znowu. Dasz nam karafkę różowego wina, Bob.

— Ile razy mam wam mówić, że nie zabiłem starej?

— Być może. Ale byłeś na quai de la Mégisserie.

Maigret zwracał się do niego dobrotliwie, per ty.

- Musicie mi to udowodnić. I wytłumaczyć, po co miałbym tam chodzić.
- Po model.
- Nie rozumiem.
- Przed chwilą ktoś mocniejszy od ciebie też nie rozumiał. Ale do niego dotarło.
- Byliście u Giovanniego?

Marcel zbladł. Bob podszedł do stolika z kieliszkami i karafką.

- Co wam powiedział?
- Interes na skalę światową, co?... Który może zainteresować zwłaszcza Amerykanów.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- To nie ma żadnego znaczenia. Uprzedzam cię tylko, że nie masz po co chodzić do willi w Sanary w nadziei, że otrzymasz jakąś większą sumę.
- Widzieliście się z Giovannim? — spytał Bob siadając przy stoliku.
- Właśnie od niego wychodzimy.
- Przyznał się, że przyjął Marcela?
- I że pan do niego dzwonił.

Małymi łyżkami pił łakomie prowansalskie wino. Za dwie godziny pociąg powiezie go do Paryża. Maigret ponownie zwrócił się do Marcela.

— Jeśli naprawdę nie zabiłeś starej, radzę ci wyznać całą prawdę i wracać ze mną do Paryża.

Marcel ze zdenerwowania zacisnął kurczowo pięści.

- Co ty o tym myślisz, Bob?
- Mnie to nie dotyczy. Pomagam przyjaciółom w potrzebie, to wszystko. Nic nie wiem o tej sprawie.
- Po co miałbym wracać do Paryża? — spytał Marcel.
- Żeby dać się wsadzić do więzienia.
- Ale mówiłem już panu...
- Wiem, wiem. To nie ty zabiłeś starszą panią. Jeśli zrobiła to jej siostrzenica, to i tak będziesz odpowiadać za współudział.
- I namawia mnie pan do wyjazdu z Tulonu po to, żeby mnie aresztować?
- Myślę, że paryskie powietrze będzie dla ciebie zdrowsze.

Marcel uśmiechnął się chytrze.

— Nie, komisarzu. Nie jestem aż tak naiwny. Jeśli ma pan nakaz aresztowania, to niech go pan pokaże i zabierze mnie. Dobrze pan wie, że nie może pan tego zrobić, ponieważ nie ma dowodów poza tymi dwoma lewymi świadkami, którzy widzieli garnitur w kratkę.

- Jak chcesz.
- Opłacało się cicho siedzieć przez te wszystkie lata!
- Trzeba było w tym wytrwać.

Tym razem rachunek zapłacił Marella. Potem spojrział na zegarek.

— Zdażysz wpaść przywitać się z moją żoną. Przy okazji zobaczysz nasz nowy dom.

Stał na wzgórzu za miastem. Był nieduży, ale sympatyczny i gościnny.

Piętnastoletni chłopak ścinał trawę maszynką, która brzęczała jak monstrualna mucha.

- Znasz mego syna, Alaina?
- Widziałem go, kiedy był małym dzieckiem.
- Dziecko, jak widzisz, podrosło.

Weszli do salonu, a raczej dużego living-roomu. Pani Marella wyszła z kuchni trzymając w ręku wałek do ciasta.

- Och, przepraszam. Nie wiedziałam, że masz gościa.
- Maigret ucałował ją w oba policzki. Miała na imię Claudine i zawsze była uśmiechnięta.
- Zje pan z nami kolację, prawda? Właśnie robię placek ze śliwkami.
- Wyjeżdżam do Paryża nocnym pociągiem.

— Dawno pan przyjechał?
— Dziś rano.
— I już pan wyjeżdża?
— Dzięki pani mężowi, który bardzo mi pomógł.
— Co ci podać? Zauważyłem, że nie gardzisz prowansalskim winem. Mam u siebie w piwnicy coś lepszego niż to, co piłeś w „Admirale”.

Spędzili razem godzinę gawędząc o tym i owym. Piętnastoletni Alain przyszedł przywitać się z komisarzem.

— Nie jesteś w szkole?
— Zapomniał pan, że dziś sobota?
Istotnie, Maigret zapomniał. Wydarzenia tygodnia tak się zazębiały, że nie liczył dni.
— W której jesteś klasie?
— W trzeciej, z łaciną.
— Chcesz obrać ten sam zawód co ojciec?
— O, nie. Nigdy nie wiadomo, o której wróci do domu, a kiedy kładzie się spać, w każdej chwili może go zbudzić telefon.

Maigret zamyślił się. Też chciałby mieć syna, nawet gdyby nie miał on zostać policjantem.

— W drogę! Nie chcę się spóźnić na pociąg.

— Odwiozę cię na dworzec.

Parę minut później byli już daleko od willi, przed którą stała Claudine wymachując ręką na pożegnanie.

Kiedy taksówka zatrzymała się na niemal wymarłym w niedzielny poranek bulwarze Richard-Lenoir, pani Maigret usłyszała trzaśnięcie drzwiczek i podbiegła do otwartego okna.

Czekała na męża na schodach.

— Myślałam, że zostaniesz na noc w Tulonie. Dlaczego nie zadzwoniłeś, że wracasz?

— Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Na głowie miała chusteczkę, bo właśnie zabrała się do sprzątanania.

— Zmęczony?

— Wcale. Wyspałem się.

— Przygotować ci kąpiel?

— Tak, świetnie.

Ogolił się w pociągu, jak zwykle przed przyjazdem do Paryża.

— Udało ci się załatwić to, co chciałeś?

— Mniej więcej. A propos, Marella i Claudine przesyłają ci pozdrowienia. Wybudowali sobie śliczną małą willę pod miastem.

— Claudine nadal taka wesoła?

— Nie zmieniła się. Tylko syn wyrósł na dużego chłopaka i już mówi basem.

— Jesteś dziś zajęty?

— Nie, tylko później muszę wyjść na chwilę. Podczas gdy wanna napełniała się wodą, zadzwonił na Quai des Orfèvres; okazało się, że i tym razem dyżurował dzielny Lucas.

— W biurze nic nowego?

— Nic specjalnego, szefie.

— Kogo masz pod ręką?

— Jest Neveu, Janin, Lourtie...

— Wystarczy. Tylu mi nie trzeba. Powiedz im, że mają tak się zorganizować, żeby ktoś stale, w dzień i w nocy, pilnował domu, w którym mieszka Angela Louette, masażystka, na ulicy Saint-Andre-des-Arts. Nie muszą się kryć. Uwaga, ona ma samochód.

Siedział długo w pienistej wodzie, podczas gdy żona robiła kawę. Około wpół do dziesiątej wyszedł i wsiadł w taksówkę, którą dojechał do rogu ulicy Saint-Andre-des-Arts. Dyżurował Janin i komisarz uściśnął mu rękę.

— Idę się z nią zobaczyć i możliwe, że po tym, co usłyszysz, będzie miała ochotę zniknąć.

— Proszę się nie obawiać. Będę czuwał. Umówiliśmy się z Neveu, że zamiast wystawać tu godzinami, będziemy zmieniać się co trzy godziny, a w nocy pomoże nam Lourtie.

Maigret wszedł na schody i zadzwonił do drzwi, które niemal natychmiast się otworzyły.

Angela Louette miała na sobie czarny kostium i wkładała właśnie kapelusz.

— Znowu pan! — westchnęła. — Nie może mnie pan zostawić w spokoju choćby na jeden dzień?

— Wychodzi pani?

— To widać, nie? Nie wkładam kapelusza po to, żeby zabrać się do sprzątanania.

— Wracam z Tulonu.

— Co mnie to może obchodzić?

— Ano właśnie, to panią bardzo obchodzi. Pani kochanek wyjechał tam samochodem, no i spotkaliśmy się.

— Nie mamy już ze sobą nic wspólnego.

— Ależ tak! Świadczy o tym fakt, że to on wziął na siebie negocjacje z Giovannim.

Drgnęła.

— Nic z tego nie wyszło, mówię to pani od razu, pani ciotka umarła niepotrzebnie. Wie pani, gdzie teraz jest rewolwer? W Morzu Śródziemnym, kilkadziesiąt czy kilkaset metrów pod wodą. Marcel nie dzwonił, żeby to pani powiedzieć?

— Gdyby dzwonił, że pan przyjdzie, toby mnie pan nie zastał.

— Dokąd pani teraz idzie?

— Na mszę, jeśli chce pan wiedzieć. A jeśli to pana dziwi, tym gorzej dla pana.

— Chciałem pani coś przekazać. Jutro o dziewiątej rano ma się pani stawić u mnie w biurze. Radzę się nie spóźnić. Radzę też wziąć ze sobą walizeczkę z osobistymi rzeczami i bielizną. Możliwe, że na jakiś czas panią zatrzymamy.

— To znaczy, że pan mnie aresztuje?

— Należy to wziąć pod uwagę. To zresztą nie zależy ode mnie, tylko od sędziego śledczego. Jeszcze słówko i pozwolę pani wyjść. Od godziny jest pani pod obserwacją i będzie pani śledzona aż do chwili, kiedy znajdzie się pani jutro w moim biurze.

— Nienawidzę pana!

— Niczego innego się nie spodziewałem.

Będąc już na schodach usłyszał, jak szybkimi krokami przemierzała living-room wykrzykując coś gwałtownie.

— Widziałeś ją? — spytał Janina.

— Nie.

— Pokażę ci ją, zaraz powinna wyjść.

Wyszła po dziesięciu minutach i spłoszyła się widząc dwóch mężczyzn stojących po drugiej stronie ulicy.

— Widzisz, że łatwo ją rozpoznać. Gdyby była bokserem, walczyłaby w wadze ciężkiej.

W ten cichy i słoneczny niedzielny poranek wrócił do domu piechotą. Zastanawiał się, co będą robili po południu. Czasem wyjeżdżali gdzieś samochodem.— prowadziła pani Maigret, ale bała się siadać za kierownicą w niedzielę, zwłaszcza w okolicach Paryża.

Wszystko jedno, co będą robić. Nigdy się z sobą nie nudzili, nawet wtedy, gdy po prostu szli obok siebie ulicami.

— Przychodzisz pięć minut za późno. Dzwonił twój przyjaciel Marella. Prosił, żebyś jak najprędzej zatelefonował do niego do domu. Podobno dał ci numer.

Uważnie przyglądała się mężowi.

— Nie dziwi cię, że dzwoni w niedzielę rano, choć rozstaliście się wczoraj wieczorem?
— Spodziewałem się tego.
Zadzwoił do Tulonu i w chwilę później rozmawiał z Marellą.
— Dobrą miałeś podróż?
— Po twoim prowansalskim winie spałem jak dziecko.
— Domyślasz się, dlaczego dzwonię?
— Co się z nim stało?
— Dzisiaj o siódmej rano wyciągnięto go z wody, w porcie.
— Nóż?
— Nie, kula, kaliber 38, w środek czoła.
Zamilkli. Obaj pograżyli się w myślach.
— Dobrze mu radziłeś, żeby wrócił z tobą do Paryża. Chciał wszystkich przechytryć. Wyobrażał sobie, że kłamiesz i że mimo wszystko wyciągnie coś z tej historii.
— Przypuszczam, że Giovanniemu niczego nie można udowodnić.
— Był ostrożny. Przysiągłbym, że morderca nie wie, dla kogo pracował. Musiał dostać instrukcje od zaufanego pośrednika.
— Masz kogoś na myśli?
— Ba, na wybrzeżu jest ze dwudziestu facetów zdolnych do takiego numeru. Możliwe, że ściągnęli kogoś z Nicei albo Cannes czy Marsylii. I że faceta nie ma już w Tulonie. Z pewnością nikt go nie widział.
Marella zamyślił się.
— To znaczy, że i tak go kiedyś dorwiemy, być może za cztery, pięć lat, w całkiem innej sprawie.
— No tak, zupełnie jak u mnie. Dziękuję za wiadomość. Co znaleziono w kieszeniach?
— Nic specjalnego. Dwa tysiące franków w portfelu, dowód osobisty, prawo jazdy. W samochodzie zaparkowanym przed hotelem jest karta rejestracyjna wozu. Drobne... klucz...
— Przyślij mi go.
— Zaraz to zrobię. Wyślę z dworca. Chusteczka do nosa, papierosy, guma do żucia...
— Otworzyłeś walizkę?
— Zapasowy garnitur w białą-czarną kratkę, bielizna. Żadnych dokumentów. Powieść w tanim wydaniu w pstrokatej okładce.
— Nie było notesu z numerami telefonów?
— Nie. Ale możliwe, że ktoś mnie uprzedził. Zdaniem lekarza śmierć nastąpiła o pierwszej w nocy. To tylko prowizoryczna ocena, sekcję zwłok zrobi dopiero dziś po południu.
— Claudine nie gniewa się na mnie?
— Dlaczego miałyby się gniewać?
— Przeze mnie zmarnowaliście niedzielny poranek.
— Jest w kuchni. Woła właśnie, żeby was pozdrowić, ciebie i żonę. Co do mnie, skończyłem już z tą sprawą i wszelkie formalności przekazuję mojemu zastępcy.
— Widziałeś Boba?
— Nie. Mam nadzieję, że nie spotka go ten sam los. Byłoby mi przykro, bo przecież zachował się przyzwoicie.
— Wydaje mi się, że jest Giovanniemu bardzo potrzebny.
— Pomyślałem o tym samym. Niezbędny jest jakiś łącznik, który kontaktuje Giovanniego z gangsterami.
— A Bob świetnie się do tego nadaje, prawda?
— No, najlepszego!
— Nawzajem. Dziękuję za wydatną pomoc.
Maigret odłożył słuchawkę.
— Złe wiadomości? — spytała pani Maigret widząc jego nachmurzoną twarz.

— Jako profesjonalista powinienem powiedzieć, że wiadomość jest doskonała. Sprzątnięto w Tulonie jednego faceta i dzięki temu nie będziemy musieli stawiać go przed sądem. To był sutener, który żył na koszt pięćdziesięcioletniej kobiety. Był co najmniej współnikiem zbrodni, o ile sam jej nie popełnił.

— Chodzi o starszą panią?

Starszą panią w kapeluszu i białych rękawiczkach. Tak. Znowu zobaczył ją, jak pojawia się nagle przed nim na chodniku Quai des Orfèvres i patrzy nań oczami pełnymi podziwu i nadziei.

Nie żyje. Marcel też już nie żyje, a przedmiot, którego tak uporczywie szukał, ów rewolwer leżący po prostu w szafce nocnej, jest stracony na zawsze.

— Co mamy na obiad?

— Cielęciny w białym sosie.

Przesiedzieli w domu do wpół do pierwszej. Maigret włączył radio, które oczywiście nie informowało o znalezionych w Tulonie zwłokach mężczyzny.

— Nie wydaje ci się, że jest zbyt pięknie, aby słuchać radia?

— Nie sądzisz, że jest zbyt pięknie, aby siedzieć w domu?

— Masz jakiś pomysł?

— Przejdźmy się.

Wzięła go jak zwykle pod ramię i poszli w kierunku Sekwany. Tak trafili na quai de la Mégisserie i ujrzeni zamknięte okiennice sklepu z ptakami.

— Na którym to piętrze?

— Na pierwszym.

— Paru ludzi to uszczęśliwi.

— O czym mówisz?

— O ludziach, którzy wynajmą mieszkanie. Jeden z piękniejszych widoków na Paryż.

Poszli dalej i wkrótce znaleźli się przed ogrodem Tuileries.

— Może usiądziemy na chwilę? — zaproponował. Mógł wreszcie zrobić to, o czym myślał od wczoraj

wieczór. Nigdy nie siedział na ławce w parku. Skłonny był sądzić, że do niczego nie służyły, chyba tylko włóczgom jako łożko i zakochanym jako schronienie.

A przecież długo musieli szukać wolnej ławki. Wszystkie były zajęte, i to nie tylko przez starych ludzi. Było dużo młodych matek z dziećmi. Mężczyzna około trzydziestki czytał podręcznik biologii.

— Przyjemnie tu, prawda?

Malutkie białe żaglowce pływały po przejrzystej wodzie sadzawki.

— Tylko się nie zamocz, Hubert. Jak się tak będziesz przechylał, to wpadniesz do wody!

Czyż nie było to pokrzepiające? Życie widziane stąd wydawało się proste i nieskomplikowane.

Starsza pani przychodziła tu codziennie, jeśli była ładna pogoda. Podobnie jak stojąca właśnie przed nimi staruszka karmiła okruchami chleba podlatujące coraz bliżej ptaki.

— Przyszedłeś tu ze względu na nią?

— Tak — przyznał. — I miałem ochotę bodaj raz w życiu usiąść na ławce.

Dodał pośpiesznie:

— Zwłaszcza razem z tobą.

— Nie najlepiej z twoją pamięcią.

— To już się nam zdarzyło?

— W okresie naszego narzeczeństwa, na placu des Vosges. Tam zresztą pocałowałeś mnie po raz pierwszy.

— Masz rację. Zapominam. Chętnie bym cię pocałował, ale naprawdę za dużo jest ludzi dookoła.

— I w naszym wieku już się tego raczej nie robi, prawda?

Nie wrócili do domu. Poszli na kolację do ulubionej i często przez nich odwiedzanej restauracji na placu des Victoires.

— Zostaniemy na tarasie?

— Nie radzę państwu — wtrącił kelner. — Wkrótce zrobi się chłodno, niebezpiecznie będzie jeść na dworze.

Zjedli ze smakiem doskonałą cielęcinę w potrawce, potem kotleciki z jagnięcia, wreszcie ciastko z truskawkami.

— To się rzadko zdarza — powiedziała cicho pani Maigret.

— Co?

— Żebyś mi poświęcił niemal cały dzień. Założę się, że jutro zadzwonisz, że nie wracasz na obiad.

— Możliwe. Nawet bardzo. Jutro stawiam czoło żandarmowi.

— Tak nazywasz tę biedną kobietę?

— Biedną kobietę, która prawdopodobnie zabiła swoją ciotkę.

— To nie było zabójstwo z premedytacją?

— Nie.

— Przeraziła się widząc, że ją zdemaskowano?

— Chcesz jej bronić?

— Nie, ale dużo o niej myślałam. Mówiłeś, że jest brzydka.

— W każdym razie bez wdzięku.

— I już taka była w młodości?

— Na pewno.

— Skoro nie miała powodzenia, musiała jakoś inaczej zabrać się do mężczyzn.

— Byłby z ciebie dobry adwokat.

— Pięćdziesiąt pięć lat! Tak mówiłeś, prawda? Uczepiła się z całej siły Marcela sądząc, że to ostatni.

— Nadal się go czepia, bo nie wie, co się z nim stało.

— Nie wydaje ci się, że będzie próbowała uciec?

— Inspektor stale dyżuruje przed jej domem.

— Nie chciałabym być na twoim miejscu jutro rano.

— Ja również wolałbym znaleźć się gdzie indziej. Taki miał zawód. A Angela Louette nie należała do osób budzących współczucie.

Pani Maigret zrozumiała tok myśli swego męża, kiedy powiedział:

— Syn Marelli za żadne skarby nie chce zostać policjantem.

Gdyby sam miał syna, co by mu doradzał? Trzymając się pod rękę ruszyli w stronę bulwaru Richard–Lenoir i dłuższą chwilę szli nic nie mówiąc.

ROZDZIAŁ VII

Kiedy dokładnie z wybiciem dziewiątej stary Joseph wprowadził Angelę do gabinetu Maigreta, komisarz popatrzył na nią inaczej niż zwykle, z pewnym zażenowaniem, może dlatego że przypomniał sobie wczorajsze słowa żony.

Podniósł się nawet, aby ją przywitać; walizeczka, którą trzymała w ręku, nadawała jej niemal patetyczny wygląd.

Była blada, ale przecież zawsze tak wyglądała. Była brzydka. Czy okazałby się wobec niej równie surowy, gdyby była ładną kobietą?

— Proszę postawić walizkę i usiąść.

Wszystko było przygotowane, Lapointe siedział przy biurku gotów zacząć stenografowanie.

— Chyba już jest dziewiąta, prawda? Nie poszłam do klientki umówionej na ósmą. Druga już na mnie czeka. Przez pana tracę zarobki.

Wczoraj — wiedział o tym z raportu inspektorów — wróciła do domu zaraz po mszy i więcej nie wychodziła. Światło paliło się w pokoju do późnej nocy.

Nikt jej nie odwiedził. Sama spędziła te godziny oczekiwania.

Czy dlatego była dziś tak poważna i jakby przybita?

Podniósł słuchawkę.

— Proszę sprawdzić, czy sędzia śledczy Libart już przyszedł.

Usłyszał dzwonek telefonu rozlegający się w ciszy.

— Jeszcze go nie ma, panie komisarzu. Ani jego sekretarza.

— Dziękuję.

Zapalił fajkę i powiedział do Angełi Louette:

— Może pani zapalić.

— To miło z pana strony. Ostatni papieros skazańca, tak?

— Proszę pani, najwyższy czas, żebyśmy przeszli do sedna sprawy. Być może zadam pani pytania, jakie już stawiałem, ale mam nadzieję, że po raz ostatni.

Można by sądzić, że pogoda miała swój udział w tej rozmowie tworząc posępną i mroczną atmosferę — po dwóch pięknych, słonecznych tygodniach niebo zachmurzyło się i Paryż tonął teraz w drobnej mżawce.

— Zgadza się pani, że ciotka została zamordowana?

— Nie mogę podważać orzeczenia lekarskiego.

— Wiedziała pani o jakichś jej wrogach?

— Nie.

Była spokojna i ponura jak pogoda. Jej twarz była bez wyrazu, spokojnie patrzyła na komisarza, kryjąc swe uczucia, o ile cokolwiek odczuwała.

— A o przyjaciółkach?

— Też nie. Nie znałam żadnych jej przyjaciół.

— Była pani jedyną osobą, którą przyjmowała w swoim mieszkaniu na quai de la Mégisserie?

— O ile wiem, tak.

— Umawiałyście się?

— Ciotka nie miała telefonu. Chciałam go założyć, ale odmówiła.

— Dlaczego ją pani odwiedzała?

— Byłam jej jedyną krewną.

Jak zwykle miała na sobie czarny kostium i wyglądała, jakby była w żałobie.

— Wiedziała pani, kiedy ją można zastać?

— Tak.

— Wiedziała pani, jak spędza dzień?
— Zawsze tak samo.
— Rano chodziła na zakupy, zgadza się?
— Tak.
— Po obiedzie, o ile dobrze sobie przypominam, drzemała jakiś czas w fotelu.
Potakująco skinęła głową.
— Później, jeśli pogoda była ładna, szła do ogrodu Tuileries i siadała na ławce.
— O tym wszystkim już mówiliśmy.
— Mam powody, żeby to powtórzyć. Nie lubiła jej prani?
— Nie.
— Ciągle miała pani do niej żal o te nędzne sto franków, które dała pani, kiedy będąc w ciąży prosiła ją pani o pomoc?
— Takich rzeczy się nie zapomina.
— Ale mimo to chodziła pani do niej. Ile razy w roku?
— Nigdy nie liczyłam.
— W miesiącu?
— Raz. Czasem dwa.
— Zawsze o tej samej porze?
— Prawie zawsze. Kończę pracę o szóstej. W lecie o tej porze wracała do domu.
— Prosiła, żeby pani usiadła?
— Nie czekałam, aż poprosi. Bądź co bądź to była ciotka.
— I była pani jej jedyną spadkobierczynią?
— Tak.
— Myślała pani o tym?
— Mówiłam sobie, że to mi ułatwi starość. Zawód masażystki jest cięższy, niż się sądzi, i wymaga siły fizycznej. Za kilka lat będę za stara.
— Na razie pożyczła pani od niej pieniądze.
— Od czasu do czasu. W moim zawodzie nie zawsze się zarabia. Na przykład w czasie wakacji większość moich klientek wyjeżdża z Paryża, niektóre na dwa, trzy miesiące.
— Klóciłyście się z ciotką?
— Nigdy.
— Wyrzucała jej pani skąpstwo?
— Nie.
— Znała pani uczucia?
— Przypuszczam, że tak.
— Wiedziała pani, że nie trzyma w domu większych sum?
— Wiedziałam.
— Kto zdjął odcisk z zamka?
— Nie ja.
— A więc pani kochanek?
— Nigdy mi o tym nie mówił.
— Ale pokazał pani dorobiony klucz?
— Nigdy nie miałam klucza.
— Już zaczyna pani kłamać. Miała pani nie tylko klucz od mieszkania, ale i od komórki wuja Antoine, na drugim końcu korytarza.
Milczała jak skarcone i uparte dziecko.
— Mam dla pani złą wiadomość, być może w związku z tym zmieni pani swoje zeznania. Byłam przedwczoraj w Tulonie.
Zadrzała. Wiedziała więc, że Marcel wyjechał jednak do tego miasta.

— Przede wszystkim niech pani przyzna, żeście się nie pokłócili i że nie wyrzuciła go pani.

— Może pan myśleć, co się panu podoba. Nie mam na to wpływu.

— Ta kłótnia o to, że się wyleguje w łóżku, była komedią odegraną na moją intencję.

Nie drgnęła.

— Widziałem się z nim w Tulonie. Oczywiście wiedziała pani, po co tam pojechał?

— Nie.

— Znowu pani kłamie. Parę kilometrów od miasta stoi willa zamieszkaana przez niejakiego Pepita Giovanni. To były przestępca, który się ustatkował i prowadzi teraz różne poważne interesy. Przypuszczam, że Marcel pracował kiedyś dla niego, ale był tylko drobnym trybikiem w tej machinie. Marcel nigdy nie był prawdziwym gangsterem, a tylko małym oszustem, właściwie statystą.

Dostrzegł błysk wściekłości w oczach kobiety; nie odezwała się jednak.

— Zgadza się pani ze mną?

— Nie mam panu nic do powiedzenia.

— Przepraszam panią na chwilę.

Znowu podniósł słuchawkę i tym razem połączono go ze śledczym.

— Tu Maigret. Czy mogę wpaść na chwilę?

— Czekam na pana. Proszę się pośpieszyć, bo za dziesięć minut mam przesłuchanie.

Zostawił swoją klientkę sam na sam z Lapointe'em i pchnął drzwi prowadzące do sądu.

— Jak posuwa się śledztwo?

— Nie chcę zbyt szybko się śpieszyć, ale mam nadzieję, że dziś je zakończę. W sobotę byłem w Tulonie, zaszły tam różne wypadki, o których zaraz panu opowiem. Na razie potrzebny mi nakaz aresztowania na nazwisko Angela Louette.

— Czy to siostrzenica?

— Tak.

— Sądzi pan, że to ona zabiła starszą panią?

— Jeszcze nie wiem, ale mam nadzieję, że wkrótce się dowiem. No i zobaczymy, czy posłużę się tym nakazem.

— Słyszałeś, Gerard? Proszę wypełnić formularz. Kiedy Maigret wrócił do swego gabinetu, dwie znajdujące się tam postacie wyglądały jak figury woskowe.

Podał Angeli nakaz aresztowania.

— Przypuszczam, że wie pani, co to oznacza, i rozumie pani, dlaczego kazałem pani przynieść walizkę z osobistymi rzeczami i zmianą bielizny.

Nie odpowiedziała, nie drgnęła.

— Przede wszystkim porozmawiamy o Marcelu. W Tulonie spotkałem go w barze „Admirał”, był tam częstym gościem, kiedy mieszkał na Wybrzeżu. Dobrze znał niejakiego Boba, barmana. Mówił pani o nim?

Odpowiedziała oschle:

— Nie.

Ale była skupiona i z pewnym niepokojem czekała, co powie dalej.

— Taki mały aferzysta jak Marcel nie idzie prosto z mostu do człowieka tej miary co Giovanni. Potrzebował pośrednika i tę rolę odegrał Bob. Nie wiem, co mówił Giovanniemu. Marcel miał coś do sprzedania, coś bardzo ważnego, ponieważ były szef przyjął go już następnego dnia. Słucha mnie pani?

— Tak.

— Domyśla się pani, że mówię o rewolwerze?

— Nigdy nie widziałam rewolweru, o którym pan wspomina. Mówiłam to już panu i powtarzam jeszcze raz.

— I za każdym razem kłamała pani. Giovanni tak się zainteresował tą bronią, że ją zatrzymał. Poszedłem do niego wkrótce potem i odbyliśmy bardzo interesującą rozmowę. Między innymi opowiedziałem mu, skąd się wziął rewolwer, powiedziałem także o roli, jaką odegrał Marcel w zabójstwie pani ciotki. Widzi pani, kiedy jakiś gangster zbija majątek i całkowicie czy częściowo wycofuje się z interesów, to nie lubi wplątywać się w podobne afery. Giovanni zdał sobie sprawę, że posiadanie tej broni niesie poważne niebezpieczeństwo, i ledwie od niego wyszedłem, wypłynął jachtem na morze. Tak że ów osławiony rewolwer pani wuja znajduje się teraz kilkadziesiąt metrów pod wodą.

Maigret opróżnił fajkę i nabił następną.

— Inne jeszcze wydarzenia miały miejsce w Tulonie po moim wyjeździe. Dowiedziałem się o nich przez telefon od mego kolegi, który zadzwonił wczoraj rano, zaraz po mojej rozmowie z panią. Proszę mi tylko powtórzyć, że nic już panią nie łączy z Marcelem i że definitywnie wyrzuciła go pani.

— Chcę wiedzieć, co się stało.

— Sam Marcel stał się kompromitujący. W tym środowisku mówi się, że tylko umarli milczą.

— Nie żyje?

Zastygła nagle i głos jej się zmienił.

— To pani nie dotyczy, prawda?

— Co się właściwie stało?

— W nocy dostał kulę w czoło. Kaliber 38, używany przez zawodowców. Wczoraj rano znaleziono go w starym basenie portowym.

— Czy to pułapka?

— Nie.

— Przysięgnie pan na głowę swojej żony?

— Przysięgam.

Wtedy łzy popłynęły jej po policzkach i otworzyła torebkę szukając chusteczki.

ROZDZIAŁ VIII

Stanął przy oknie, aby pozwolić jej odzyskać równowagę. Deszcz mżył nieustannie i na ulicy widać było lśniące, mokre parasole.

Usłyszał, że wyciera nos, a kiedy wrócił na miejsce, różowała sobie policzki.

— Jak pani widzi, sprawa spaliła na panewce, nie opłacało się zabijać ciotki.

Pociągała nosem, drżącą ręką sięgnęła po papieros i zapaliła go.

— Pozostaje nam ustalić, kto z was, Marcel czy pani, udusił starszą panią.

W przeciwieństwie do tego, czego się spodziewał, nie odpowiedziała od razu. Przecież teraz, kiedy zginął jej kochanek, łatwo mogła się wybronić.

— Śledztwo w jego sprawie jest oczywiście zamknięte. Z panią rzeczą ma się inaczej.

— Dlaczego mnie pan nienawidzi?

— Nie nienawidzę pani. Staram się robić po ludzku to, co muszę zrobić. Ale od pierwszego dnia okłamywała mnie pani. Jakże w takiej sytuacji mogę się zachowywać inaczej?

— Wiedział pan, że go kochałam!

— Wiem, że nadal go pani kocha, nawet umarłego.

— To prawda.

— Dlaczego zainscenizowaliście tę kłótnię i zerwanie?

— To był jego pomysł. Sądził, że w ten sposób wprowadzi pana w błąd.

Patrzyła mu prosto w oczy i po raz pierwszy nie próbowała wymigiwać się ani kłamać.

— Wiedziała pani, po co pojechał do Tulonu?

— Tak.

— Od jak dawna wiedziała pani o istnieniu tego rewolweru?

Od trzynastu albo od czternastu lat. Lubiliśmy się z wujem Antoine. To był dobry człowiek, dość osamotniony. Sądzę, że w mojej ciotce nie znalazł wymarzonej partnerki, więc coraz częściej zamykał się w swoim warsztacie.

— Pani tam przychodziła?

— Dość często. Jego jedyną namiętnością było majsterkowanie i niemal co roku wysyłał swoje wynalazki na konkurs.

— W ten sposób dowiedziała się pani o rewolwerze?

— Pracował nad nim dwa lata. „Nie rozwiązałem jeszcze jednego problemu — zwierzał mi się. — Jeśli tego kiedyś dokonam, narobi to wiele hałasu”. Potem zaczął się śmiać: „Mówię o hałasie, a to akurat coś odwrotnego. Wiesz, co to jest tłumik? — Widziałam w kinie i w telewizji. Przedmiot, który nakłada się na koniec lufy pistoletu, żeby nie było słycać wystrzału. — Mniej więcej to. Oczywiście nie można tego kupić, to zabronione. Wyobraź teraz sobie, że można ten tłumik zlikwidować, że może być częścią broni, znajdować się wewnątrz niej”. Był bardzo podniecony. „Dobiegam końca. Muszę jeszcze dopracować pewne szczegóły. Kiedy sprzedam patent, cała broń, również broń policji i wojska, będzie cichostrzelna”.

Umilkła na chwilę, potem wyszeptała:

— Umarł parę dni później. Zupełnie nie znam się na broni palnej. Nigdy więcej nie myślałam o tym rewolwerze.

— Kiedy powiedziała pani o nim Marcelowi?

— Jakiś miesiąc temu. Nawet nie, trzy tygodnie. Przechodziliśmy przez Pont-Neuf i pokazałam mu okna na quai de la Mégisserie. Powiedziałam mu, że tam mieszka moja ciotka i że kiedyś dostanę po niej spadek.

— Dlaczego mówiła mu pani o spadku?

Zaczerwieniła się i odwróciła głowę.

— Żeby go zatrzymać.

Jak widać, nie miała złudzeń.

— Wkrótce potem, siedząc z nim w kawiarni, opowiedziałam mu historię rewolweru, nagle mi się przypomniała. Ku memu zdziwieniu niesłychanie go to zainteresowało. „Czy widziała pani tę broń po śmierci wuja? — Nie. Nie weszłam nawet do warsztatu. — Czy ciotka wiedziała o nim? — Możliwe, że jej opowiadał, ale podobnie jak ja pewnie nie przywiązywała do tego znaczenia. Zapytam ją. — Proszę o tym nawet nie wspominać”. Może to pana dziwi, ale mówiliśmy do siebie per pan, pani. Z rzadkimi wyjątkami — dodała z zażenowaniem. — Potem zapytał, czy mam klucz od mieszkania. „Nie. — Czy tym samym kluczem można otworzyć warsztat? — Nie. Jest specjalny klucz, ale nie wiem, gdzie go ciotka trzyma. Prawdopodobnie w torebce”. Przez kilka dni nie mówiliśmy o tym więcej. Któregoś wieczoru pokazał mi dwa klucze. „Co pan zamierza zrobić? — Znaleźć ten rewolwer. — Po co? — Bo wart jest majątek. Kiedy upewni się pani, że ciotki nie ma w domu i że nieprędko wróci, przeszuka pani mieszkanie i komórkę. — Ale przecież wszystko po niej odziedziczę. — Takie kobiety szybko nie umierają. Może pani czekać dziesięć lat, bawiąc się w masowanie tych wszystkich bab”.

Spojrzała na Maigreta i westchnęła.

— Rozumie pan teraz? Nie od razu się zgodziłam. Ale nie chciałam go stracić, a on wciąż do tego powracał.

W końcu któregoś popołudnia wzięłam klucze. Widziałam jak ciotka poszła w stronę Tuileries, wiedziałam więc, że nie wróci sprzed szóstą. Zaczęłam od mieszkania. Przeszukałam wszystko, starannie odkładając rzeczy na miejsce.

— Nie tak znowu starannie, bo się zorientowała.

— Dwa dni później przeszukałam warsztat. W sumie byłam cztery razy na quai de la Mégisserie.

— A Marcel?

— Tylko raz.

— Kiedy? Odwróciła głowę.

— W dniu, kiedy umarła ciotka.

— Co pani powiedział po powrocie?

— Nie było mnie w domu. Od wpół do szóstej byłam u klientki. U pani de la Roche, którą masuję od dwudziestu lat. Mieszka pod numerem 61 na bulwarze Saint-Germain.

— O której pani wróciła?

— O siódmej. Jak zwykle zatrzymała mnie swoją gadaniną.

— Dlaczego nie powiedziała pani, że ma pani alibi?

— Bo tym samym oskarżyłabym Marcela.

— Wolała pani być podejrzaną?

— Dopóki nie był pan pewny, które z nas...

— Rewolwer rzeczywiście leżał na szafie?

— Tak.

— A pani kochanek znalazł go w szufladzie szafki nocnej?

— Tak. Do głowy mi nie przyszło szukać go tam... ciotka panicznie bała się broni palnej.

— Zanotowałeś, Lapointe? Możesz teraz przepisać zeznania na maszynie. Zadzwoń przedtem do pani Roche.

Zostali sami, Maigret miał ochotę wstać i podejść do okna.

— W sprawie Marcela śledztwo zostało zakończone, nie można ścigać zmarłego. Ale pani żyje. Prawda, że ze śmiercią ciotki nie miała pani nic wspólnego. W każdym razie ustalimy to.

Spojrzał na nią. Siedziała przed nim nie ta sama kobieta. Straciła całą hardość. Rysy twarzy i całe ciało jakby zwiotczały.

Przez pięć minut, póki Lapointe nie wrócił do gabinetu, panowała cisza.

— Ta pani potwierdza — powiedział krótko.

— Dziękuję.

— Zdaje sobie pani sprawę ze swojej sytuacji?

— Przeczytałam nakaz aresztowania i wiem, co to oznacza.

— Kiedy go wystawiałem, nie wiedziałem jeszcze, czy to pani, czy też Marcel udusił ciotkę.

— Teraz pan wie.

— Tak. Był tam sam. Nie było to morderstwo z premedytacją. Nie mogła więc pani wiedzieć, że coś takiego się stanie. Innymi słowy, nie jest pani współwinna. Można panią oskarżać o to, że nie zadenuncjowała pani swego kochanka i że przechowywała pani broń pochodzącą z kradzieży.

Jej twarz była bez wyrazu. Można by sądzić, że życie przestało ją interesować, że była daleko od tej całej sprawy, może w Tulonie, blisko Marcela?

Maigret otworzył drzwi od pokoju inspektorów. Zwrócił się do najbliższej stojącego. Był to gruby Torrence.

Proszę przyjść na chwilę do mego gabinetu i nie wychodzić ani nikogo nie wypuszczać aż do mojego powrotu.

— Tak jest, szefie.

Raz jeszcze wszedł na górę do sędziego śledczego, który natychmiast kazał wyprowadzić przesłuchiwanego przez siebie świadka.

— To ona?

— Nie. Ma niezbite alibi.

Maigret opowiedział mu wszystko najkrócej, jak mógł. Ale i to zabrało trochę czasu.

— Nie ma mowy o tym, żeby wszcząć śledztwo w sprawie Giovanniego — powiedział w końcu.

— Do niczego by to nie doprowadziło.

— W końcu ona nie jest bardziej winna niż on.

— To znaczy?...

Sędzia podrapał się w głowę.

— Tak pan myśli? Chce pan ją po prostu zwolnić? Nie przyznał się, że tę myśl podsunęła mu niejako pani Maigret.

— Należałoby najpierw ustalić jej współwinę, to nie byłoby łatwe, zwłaszcza teraz, kiedy rewolwer definitywnie zginął.

— Rozumiem.

Minął jeszcze kwadrans, zanim Maigret zszedł do biur Policji Śledczej; sędzia chciał porozumieć się z prokuratorem.

Komisarz był lekko zaskoczony na widok Torrence'a siedzącego przy jego biurku, w jego własnym fotelu.

— Nie ruszyła się, szefie.

— Nic nie powiedziała?

— Nie otworzyła ust. Mogę odejść?

Angela patrzyła na Maigreta bez ciekawości, jakby pogodzona z losem.

— Ile ma pani lat?

— Pięćdziesiąt sześć. Zwykle tego nie mówię, bo niektóre klientki uważałyby, że jestem za stara.

— Gdzie pani teraz zamieszka, u siebie czy u ciotki?

Patrzyła na niego zdumiona.

— Nie mam wyboru, prawda?

Wtedy wziął nakaz aresztowania i podarł go.

— Jest pani wolna — rzekł po prostu.

Nie od razu wstała. Mogłoby się wydawać, że nogi t odmówiły jej posłuszeństwa. Łzy popłynęły po policzkach i nie starała się ich obetrzeć.

— Nie..., nie znajduję słów, żeby...

— Słowa do niczego nie są teraz potrzebne. Proszę wstąpić tu po południu, żeby podpisać protokół zeznań.

Wahając się wstała i wolno podeszła do drzwi.

— Pani walizka!

— Prawda, zapomniałam.

Ale tego, co przeżyła, nie zapomni nigdy.